

# Porucznik e-book Borewicz

## Wisior

Opowiadanie  
na motywach scenariusza  
serialu *07 zgłoś się*

Krzysztof  
Szmagier

tom **2**

**Krzysztof Szmagier**

**07 zgłoś się**

**Kolekcja książek**

**o poruczniku Borewiczu**

**Wisior**

Fiat 125p jechał Marszałkowską brawurowo, znacznie przekraczając dopuszczalną prędkość. Przed skrzyżowaniem ze Świętokrzyską kierowca włączył syrenę i wjechał na tory tramwajowe. Dogonił jadący przed sobą tramwaj, zjechał na lewo i zaczął go wyprzedzać. Z naprzeciwka, od strony ronda Dmowskiego jechała piętnastka. Motorniczy zaczął dzwonić. Fiat w ostatniej chwili wpasował się w lukę między tramwajami, unikając czołowego zderzenia. Na rondzie skręcił w lewo, przeleciał między pojemnikami na zieleń. Z piskiem opon wyhamował i podjechał pod salon Jubilera. Ominął milicyjną taśmę i zatrzymał się na chodniku przy samym sklepie. Stały tam już dwa radiowozy i karetka pogotowia. Ekipa kryminalistyczna zabezpieczała miejsce przestępstwa ogrodzone biało-czerwoną taśmą. Wokół zgromadził się tłum gapiów. Obie szyby wystawowe były rozbite. Zbielałe resztki szkła sterczały w ramach okien.

Borewicz wyłączył syrenę i wysiadł z samochodu. Ominął milicjanta pochylonego nad metalowym posążkiem Buddy, który leżał na chodniku wśród kawałków szkła. Funkcjonariusz pieczołowicie obrysowywał to miejsce kredą. Porucznik skinął głową na powitanie i wszedł do sklepu.

Borewicz obrzucił wzrokiem wnętrze. Na podłodze leżały kawałki wybitych szyb i potłuczonych gablot sklepowych. Pod nogami chrzęściło szkło.

Ekipa dochodzeniowa pracowała bardzo sprawnie. Co chwila błyskał flesz aparatu fotograficznego. Funkcjonariusz w mundurze przesłuchiwał kierownika salonu. Nieco dalej stała przerażona kasjerka. Błada, sparaliżowana strachem.

- Kiedy weszli, stałem tuż obok wystawy - relacjonował zdenerwowany kierownik.  
- Jeden jakby lekko utykał. Chyba starszy, siwy. Drugi w lustrzanych okularach. Do sygnału miałem ze dwa metry. Nie pozwolili mi się ruszyć. Niech mnie pan... zrozumie - mówił nieskładnie. - W pierwszej chwili nikt nie był w stanie zdecydować się na śmierć.

- A kasjerka? - zapytał Borewicz.

- Ten w lustrzanych okularach powiedział, że jeśli się ruszy, to zastrzeli ją jak kuropatwę. Tak powiedział - spojrzał na kasjerkę - jak kuropatwę. Pistolet trzymał w ręku.

Kasjerka, nie ruszając się z miejsca, przytaknęła skinieniem głowy.

- Obaj mieli broń?

- Nie - odpowiedział kierownik - jeden. Chciałem zyskać na czasie, więc zacząłem

podawać mniej cenne przedmioty i potem chwyciłem ten posążek Buddy i w szybę.

- Który strzelił? - zapytał Borewicz. - Celował w pana czy na postrach?
- Ten niższy, łysy w lustrzanych szklach. Dwa razy, wtedy padłem na ziemię.
- Co zabrali?
- Sporo. - Kierownik potarł czoło. - Ale wartościowy to tak naprawdę był tylko wisior z brylantem. Pięć karatów, ozdobiony rubinami. Osiemset tysięcy złotych. Stary, piękny holenderski szlif - dokończył z żalem.

Kierownik wyjął z szuflady poźółkły papier. Borewicz rzucił okiem. Metryka była napisana po francusku, w rogu widniała data - rok 1886.

- Bez metryki, w zasadzie, nikt uczciwy takiego klejnotu nie kupi - powiedział z nadzieją w głosie kierownik.

Oleszuk przeskoczył rumowisko na towarowej boczniczy kolejowej. Dobiegł do węgła baraku i ostrożnie rozejrzał się po rozległym torowisku. Poza jednym składem było pusto. Dyszał, z trudem łapiąc powietrze. Poprawił opadające na nos lustrzane okulary i obejrzał się za siebie. Z oddali słyhać było narastający dźwięk milicyjnych syren. Zaniepokojony cofnął się za barak.

- No? - powiedział zniecierpliwiony do leżącego na torach starszego mężczyzny. - Wstawaj - warknął.

- Nie dam rady - jęknął leżący. - Kość aż mi wyszła przez skarpetę.

Widać było, że starszy mężczyzna bardzo cierpi. Drżącą ręką otarł zroszone potem czoło.

- Nie zostawiaj mnie - bełkotał, ledwie panując nad bólem. - Nie będę cię krył, pierdolony gnoju. Zabierz mnie.

- W życiu trzeba patrzeć pod nogi, niezdaro. Rusz dupę! - krzyknął Oleszuk.

Mężczyzna ostatkiem sił rzucił się do przodu i złapał Oleszuka za nogę. Przez chwilę się szarpali. Oleszczuk, próbując uwolnić się z uchwytu, parę metrów ciągnął go po torach. Dwa kopniaki w brzuch nic nie pomogły. Leżący nie popuścił chwytu.

- Nie zostawiaj mnie - zmienił ton na błagalny. - Nikomu nic nie powiem. Cała dola twoja... Błagam...

Nagle ciszę wagonowni wypełnił narastający ostry gwizd parowozu. Oleszczuk obejrzał się za siebie. Zza zakrętu ukazał się parowóz ciągnący długi sznur wagonów

towarowych.

Mężczyzna zwolnił uchwyt i opanowując ból, przetoczył się przez szynę. Znieruchomiał poza torowiskiem. Pociąg był coraz bliżej. Maszynista, nie przestając alarmować gwizdem, puścił snop pary, wychylił się przez okno i rozeźlony krzyknął:

- By was obesrało... pijane mordy!

Wagon z hukiem przetaczał się obok leżącego. Oleszuk błyskawicznie podjął decyzję. Rzucił na ziemię koło mężczyzny swoje lustrzane okulary. Kiedy zbliżał się koniec pociągu, wyciągnął pistolet. Zanim zdążył zarepetować, leżący krzyknął błagalnie:

- Nie!... nic nie powiem nikomu. Przysięgam!

Oleszuk precyzyjnie wycelował i dwa razy pociągnął za spust. Strzały zagłuszył łoskot pociągu. Nie patrząc na leżącego, rzucił się desperacko w otwarte drzwi ostatniego wagonu towarowego. Zmęczony, odbił się od progu i padł na podłogę. W tym momencie zza baraku wyjechały dwa radiowozy. Hamując, wzbily tuman kurzu.

W trawie obok torów leżał zakrwawiony mężczyzna. Na jego twarzy zastygło przerażenie. Oczy powoli zachodziły mgłą. Kiedy podbiegli do niego milicjanci, nogi drgały mu w agonii.

Borewicz dokładnie oglądał miejsce napadu na sklep jubilerski. Zajrzał do otwartej szafy pancерnej. Pochylił się nad rozbitą gablotą. Jeszcze raz obejrzał witrynę i posążek Buddy. W tym momencie do salonu Jubilera wszedł milicjant w mundurze. Rozejrzał się i pośpiesznie podszedł do Borewicza. Coś zaczął szeptać mu na ucho. Borewicz skinął głową i wybiegł. Milicjant podążył za nim, po drodze coś relacjonując.

- Jak dojechali, to jeszcze żył - mówił. - Tyle że żadnych dokumentów. W kieszeniach trochę biżuterii... Kopnął w kalendarz, jak go brali.

Podeszli do radiowozu. Borewicz włączył nasłuch.

- Ja 07, odbiór.

- Ja dwie osiemnastki - zachrobotąło w urządzeniu. - Mamy dwie łuski. Chyba walther siedem, sześćdziesiąt pięć. To na razie wszystko. Przyjedziecie?

Zbliżała się północ. W lokalu było tłoczno. Przy barze stało kilka osób. Dwie lub trzy osoby siedziały. Barmanka, szczupła brunetka w obcisłym kostiumie, uwijała się za

kontuarem, rozlewając alkohol do kieliszków. Postawiła wódkę przed Tymoskim. Mężczyzna wyjął plik pieniędzy i nonszalancko rzucił jej banknot. Widać było, że ma kasę. Niedbałym ruchem dał znak, że dziękuje za resztę. Gest zauważyła stojąca z tyłu dziewczyna. Poprawiła ręką opadające na ramiona kasztanowe włosy i podeszła do Tymoskiego. Usiadła obok, zakładając nogę na nogę. Sukienka rozchyliła się, wysoko odsłaniając szczupłe uda. Dziewczyna spojrzała przeciągle, wyciągnęła z torebki papierosa i czekała na ogień. Mężczyzna strzelił zapalniczką. Przypalił i odwrócił się. Dziewczyna się zaciągnęła.

- Dziękuję. Nudno tu dzisiaj - próbowała nawiązać rozmowę.
- Ja się nie nudzę - uciął.

Dziewczyna zamilkła urażona. Powtórnie się zaciągnęła. Tymoski schował pieniądze do bocznej kieszeni marynarki. Poprawił patkę, jakby chował coś cennego.

Do baru podszedł lekko podpity mężczyzna, stały bywalec lokalu, Rajmund Gabor. Elegancko ubrany, ciemnowłosy. Wcisnął się między dziewczynę a Tymoskiego, próbując zamówić alkohol.

Barmanka przez dłuższy czas nie reagowała. Nie nadążała obsługiwać gości.

Mężczyzna ostrożnie zaczął się rozglądać. W tym czasie jego ręka zręcznie wsunęła się do kieszeni Tymoskiego. Nie zauważył jednak, że całą tę scenę ktoś obserwuje. Siedząca obok dziewczyna zamarła, widząc, czego jest świadkiem.

Kieszonkowiec, starając się nie zwracać niczyjej uwagi, wstał i szybko udał się do szatni. Po drodze minął się z podchodzącym do baru Oleszukiem, który stanął za Tymoskim.

- U królów punktualność jest grzecznością, ale u ciebie obowiązkiem - powiedział ostro Tymoski, nawet się nie odwracając.

- Co za pomysł z tą knajpą. - Oleszuk był wściekły. - Stówa za wejście.
- Za konsumpcję - odparł Tymoski. - Przynajmniej mniej hołoty.
- Co z Amerykanką?
- Wycofała się. Bez metryki nie bierze.

Oleszuk popatrzył na Tymoskiego, nie dowierzając. Widać było, że zaraz rozsądzi go wściekłość.

- Masz przy sobie? - warknął przez zaciśnięte zęby.

- Mam.

Oleszuk rozejrzył się ostrożnie. Coś go nurtowało, ale starał się ukryć niepokój.

- Sprawdziłeś? - zapytał lodowato.

- Zmarł w drodze do szpitala - odparł lekko Tymoski.

Usłyszawszy to, Oleszuk odetchnął z ulgą. Usadowił się na stołku obok, zadowolony z tego, co usłyszał. Zamówił wódkę i coca-colę.

Gabor minął szatnię i wszedł do łazienki. Stał przed lustrem, czekając, aż zostanie sam. Wyjął z kieszeni zdobycz. Z zadowoleniem oglądał gruby plik banknotów. Sięgnął do kieszeni jeszcze raz i wyjął niepozorne zawiniątko. Delikatnie odsunął ligninę kryjącą niewielki przedmiot. Jego oczom ukazał się niezwyklej urody wisior. Gwizdnął z podziwem.

Nagle otworzyły się drzwi. Gabor szybkim ruchem wcisnął fanty do kieszeni. Zaczął myć ręce. Obojętnym wzrokiem obserwował mężczyznę, który wszedł. Odczekał, aż intruz zamknie się w kabinie, i pewnym krokiem ruszył w stronę drzwi. Uchylił je ostrożnie i wyrżał.

Światło w hallu było lekko przyciemnione, jednak Gabor zauważył, że w drzwiach wejściowych stoi dwóch milicjantów, jeden mundurowy i jeden w cywilu. Dopiero zdążyli wejść. Tajniak kiwnął na kolegę, nakazując mu, aby pozostał w szatni, a sam ruszył na salę.

Dziewczyna po nieudanej próbie nawiązania znajomości z Tymoskim usiadła samotnie przy stoliku. Znudzona obserwowała gości przy barze. Nagle dostrzegła coś, co ją zaniepokoiło. Szybko podeszła do baru. Uśmiechnęła się przymilnie do Tymoskiego.

- Proszę pana - szepnęła - w razie czego jestem z panem, dobrze?

Tymoski odwrócił się z niechęcią. Był zajęty rozmową z Oleszukiem.

- W razie czego? - zapytał opryskliwie.

- Przyfalował tajniak - uśmiechnęła się przymilnie. - Oni nie lubią samotnych dziewcząt o tej porze przy barze.

- Tajniacy nie zajmują się dziewczynami - odburknął.

- Bądź człowiekiem - zaczęła nieśmiało - a przekonasz się, że Markiza potrafi być wdzięczna.

- Markiza? - Tymoski uśmiechnął się rozbawiony. - Nie potrzebuję twojej

wdzięczności.

- Źle mnie zrozumiałeś - odparła bardzo poważnie. - Przypomnij sobie faceta, który tu przed chwilą stał. - Znacząco spojrzała na kieszeń Tymoskiego.

Do mężczyzny nagle dotarło, co mówi dziewczyna. Złapał się odruchowo za poły marynarki.

- Ty jeszcze dziś będziesz miał do niego sprawę - uśmiechnęła się znacząco. - A ja jutro liczę na małą wdzięczność. Boś chyba nie kupił tego u jubilera.

Ładna blondynka wyszła z toalety. Próbowwała domknąć elegancką torebkę, zbyt małą, by mogła pomieścić kosmetyki i damskie drobiazgi. Nagle z całym impetem potracił ją wychodzący z toalety przystojny brunet. Torebka wypadła dziewczynie z rąk, wokół rozsypała się cała jej zawartość, wszystko, co tak starannie przed chwilą upychała - szminka, cienie do powiek, puder, lusterko, chustka, jakieś kwity...

- Mógłby pan uważać - westchnęła.

Mężczyzna pochylił się, by zebrać rozrzucone drobiazgi. Spojrzał w górę. Uśmiechnął się.

- Mógłbym, tylko jestem okropny niezdara - powiedział. - Proszę mi wybaczyć.

Pani uroda zwała z nóg.

Podniósł się z klęczek, wkładając do torebki zebrane drobiazgi. Dziewczyna zauważyła, że na podłodze została szminka, więc się schyliła.

- Gabor - przedstawił się. - Chyba nic nie uszkodziłem. - Uśmiechnął się, podając jej torebkę. - Jeszcze raz przepraszam.

- Dziękuję - odrzekła.

Odwzajemniła uśmiech. Stała, jakby na coś czekając. W pewnym momencie rzuciła niespokojne spojrzenie na salę. Gabor podążył za jej wzrokiem.

- Gdyby nie ten młody długowłosy dżentelmen, który ma w oczach miarę na moją trumnę, odważyłbym się poprosić panią do tańca - powiedział.

Dziewczyna rozbawiona uśmiechnęła się jeszcze raz.

- Do widzenia - przerwała Gaborowi i wróciła do stolika.

Gaborowi momentalnie uśmiech zniknął z twarzy. W ułamku sekundy przestał być podrywaczem. Rozejrzał się ostrożnie. Uspokojony podszedł do szatni. Przy ladzie stało kilka osób w kolejce. Czekając na płaszcz, rozglądał się nerwowo po sali.



Dziewczyna wróciła do stolika, przy którym czekał na nią długowłosego chłopak. Nerwowo bębnił palcami w stół. Kiedy usiadła, poderwał się jak oparzony. Zaczął mówić podniesionym głosem, ale zagłuszył go panujący tu gwar i orkiestra. Dziewczyna nie pozostała mu dłużna.

- Opanuj się, Michał - powiedziała. - Przecież tobie ta zazdrość to już się na głowę rzuca...

- Kompromitujesz mnie, Celina! - krzyknął z pretensją. - Cholera - wyrzucił z siebie złość.

Trzęsły mu się ręce, nie mógł nad sobą zapanować. Siadał i po chwili znów wstawał. Gwałtownym ruchem zrzucił na ziemię kieliszek.

- Opanuj się - powtórzyła stanowczo. - Już zapomniałeś tych dziesięć miesięcy? Masz ochotę tam wrócić?

Podniosła się od stolika i ruszyła w stronę szatni, zostawiając Michała samego. Do stolika podszedł kelner z rachunkiem. Michał odsunął go stanowczo i ruszył za dziewczyną. Kelner wybiegł za nim do szatni.

W tym czasie Gabor narzucił na siebie niedbale elegancki płaszcz, poprawił szalik i skierował się do wyjścia. Był w doskonałym nastroju. Nagle poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Nerwowo się odwrócił. Zamarł. Stał przed nim Tymoski z Oleszukiem.

- Chwileczkę - powiedział Tymoski. - Wejź tam. - Wskazał ręką drzwi toalety.

Oleszuk lekko go popchnął. W kieszeni odznaczał się wyraźnie kształt pistoletu. Lufa wypychała materiał spodni. Gabor nie protestował. Weszli do łazienki, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Wiesz, co ci powiem?! - krzyczał Michał do Celiny w szatni. - Takich ładnych jak ty jest na pęczki, a najwięcej w nocnych barach nad ranem. I to nawet za złotówki. Do KOC-a i tak się nie dostaniesz.

Celina spojrzała pytająco.

- Kurewska obsługa cudzoziemców - wyjaśnił.

- Różne rzeczy o tobie myślałam, ale nie że jesteś burak. I to nawet nie cukrowy, ale pastewny.

Nerwowo poprawiła włosy. Trzęsącą się ręką położyła numerek na ladzie. Szatniarz przyglądał im się z zaciekawieniem.

- Poprawiasz sobie ego! - krzyknęła, odwracając się w stronę Michała. - A ja mam już dość. Raz na zawsze. Każde wyjście do miasta musi kończyć się awanturą?! Udław się tą twoją zazdrością... - Rozpląkała się.

Narzuciła szybko futro i wybiegła z lokalu, ukradkiem wycierając łzy.

Gabor złapał w locie marynarkę, którą rzucił Tymoski. Stał w rozpiętej koszuli i opuszczonych spodniach.

- Dowód na razie zatrzymamy - powiedział Tymoski. - W razie czego odbierzesz go na właściwej komendzie rejonowej.

Gabor włożył niespiesznie marynarkę.

- Był glina, mogłeś zakapować - powiedział bezczelnie. - Byliby wdzięczni. Może byś się załapał na nowego TW.

Tymoski przez chwilę nie odpowiadał. Stał plecami do Gabora, myjąc dokładnie ręce. W końcu się odwrócił.

- Gubi cię brak wyobraźni - powiedział.

Gabor sięgnął po płaszcz. Wyłowił w ciszy charakterystyczny szcęk metalu.

- Schowaj - powiedział niby w żartach do Ole-szuka. - Jeszcze się popsuje.

Naprawdę nie mam go już przy sobie.

Oleszuk złożył nóż sprężynowy.

- Gdzie jest? Kto go ma? Adres. Nazwisko. Ale już, bo drewniana jesionka jest tańsza niż to palto.

Gabor skończył zapinać płaszcz.

- Mówię, jak jest - powiedział pojednawczo. - Wspólnika nie zakapuję, ale jutro dostarczę. Będzie coś za fatygę?

- Będzie - warknął Tymoski. - Teraz wyjdiesz nieuszkodzony. I nie będę cię fatygować, sam przyjdę. Adres aktualny?

- Może gdzieś na mieście - zaprotestował Gabor. - Mieszkam w przyzwoitej dzielnicy.

Tymoski skierował się do drzwi. Kiwnął głową na Oleszuka.

- Ja także jestem bardzo przyzwoity i radzę ci być o dwunastej w domu. Cenię punktualność. Przekonasz się na własnej skórze.

Z drzwi lokalu wybiegła podenerwowana Celina. Szarpała się z futrem, nie mogąc

trzęsącymi się rękami dopiąć zatrzasków. Zaraz za nią wybiegł Michał. Bez płaszcza, w samej marynarce. - Celina, Celinko!... - zawołał uspokajająco.

Staął, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Rozejrzał się. Wzruszył ramionami i wściekły cofnął się do lokalu. Było bardzo zimno.

Celina pośpiesznie wsiadła do taksówki. Obok siebie postawiła torebkę i nerwowym ruchem szarpnęła zamek. Z wnętrza torebki wysypało się kilka drobiazgów. Dziewczyna wyjęła chusteczkę i wszystko z siedzenia ręką zgarnęła do torebki.

Taksówkarz odwrócił się za siebie. Spojrzał ze współczuciem.

- Dokąd toż jedziemy, piękna pani? - zapytał, zaciągając po wileńsku.
- Mokotowska sześćdziesiąt - odpowiedziała cicho.

Kiedy ruszyli, Celina obejrzała się za siebie. Przez tylną szybę zobaczyła, jak Michał wrócił do lokalu. Parsknęła ze złością. Sięgnęła do torebki po chusteczkę. Wytarła nos. Jeszcze raz spojrzała za siebie i rozzłoszczona rzuciła torebkę na siedzenie. Z niedopiętej torebki wystawał kawałek chusteczki. Dziewczyna nie zwróciła na to uwagi.

Taksówkarz wyhamował. Celina wyjęła pieniądze, gestem podziękowała za resztę. Wysiadła z samochodu. Owionęło ją zimne nocne powietrze. Mocniej otuliła się futrem i szybkim krokiem ruszyła do bramy.

Winda starego typu stała na parterze. Celina wsiadła, w zamyśleniu wcisnęła przycisk. Mechanizm dźwigu zazgrzytał, szarpnęło i ruszyli.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze. Dziewczyna wyszła, stanęła przed drzwiami. Z rezygnacją ściągnęła z szyi apaszkę i bez pośpiechu zaczęła szukać klucza.

Kiedy weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi, ktoś ściągnął windę na dół.

Celina rzuciła futro w przedpokoju. Zdjęła buty. Szła, zostawiając po drodze kolejne części garderoby, aż została całkiem naga. Włączyła lampę rzucającą przytłumione bordowym kloszem światło. W mieszkaniu panował przytulny półmrok. Ciężkim ruchem podniosła rękę, poprawiając opadające na ramiona blond włosy. Weszła do łazienki. Odkręciła kurek z gorącą wodą i wsunęła się pod prysznic.

Stała tak przez długą chwilę. Kontur jej ciała prześwitywał przez plastikowy parawan. W łazience zrobiło się gorąco. Dziewczyna zamknęła wodę, odsunęła zasłonę. Na jej opalonym ciele błyszczały krople wody. Sięgnęła po ręcznik.

Nagle ciszę przerwał dzwonek. Ożywiła się. Pospiesznie wytarła ciało i narzuciła na

ramiona jedwabny szlafrok. Wybiegła z łazienki, po drodze zawiązując pasek.

- Już, już ci otwieram - krzyknęła uradowana.

W pośpiechu otworzyła drzwi. Spojrzała zdziwiona.

- A pan skąd się tu wziął? - zapytała ostro.

Na klatce stał Gabor. Podał jej dowód osobisty.

- Tu jest adres - uśmiechnął się. - Czy zostanę zaproszony na szklankę herbaty?

- A czy pan przypadkiem nie jest natrętny?

- odpowiedziała pytaniem.

- Nie. Tylko roztargniony. Przez nieuwagę zostawiłem u pani pewien drobiazg. -

Niepostrzeżenie wsunął nogę między drzwi a futrynę.

- U mnie? Czy pan ma dobrze w głowie?

- zmieniła ton. Wystraszyła się.

Szarpnęła drzwi, próbując je zatrzasknąć. Gabor odepchnął ją brutalnie i wszedł do mieszkania.

- Najzupełniej. Jest u pani w torebce - powiedział złowieszczym głosem.

- Co mi pan wmawia? - Chciała zyskać na czasie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. - Proszę wyjść! - Próbowała być stanowcza. - Bo... bo... będę krzyczała i wezwę milicję.

Gabor zrobił krok do tyłu. Zamknął drzwi. Popchnął Celinę w głąb mieszkania.

Dziewczyna zatoczyła się na ścianę.

- Nie zrobię ci nic złego - powiedział groźnym szeptem. - Zajrzyj do torebki. I sprawa będzie z głowy. A z milicją radzę ostrożnie. To śmierdząca sprawa.

Nagle zadzwonił telefon. Celina rzuciła się w jego kierunku.

- Halo! - zdążyła krzyknąć.

Gabor wyrwał jej słuchawkę z ręki i rzucił na widelki.

- Rozmowy załatwisz jutro - powiedział stanowczo. - Sprawdź torebkę - powtórzył.

Celina patrzyła na niego, nie rozumiejąc, co się dzieje. Sięgnęła po leżącą na tapczanie torebkę. Otworzyła ją i pewna swych racji wysypała zawartość na tapczan.

- Proszę. Co z tego jest pana?! - krzyknęła oburzona.

Gabor nerwowo skoczył w jej stronę. Zaczął przewracać wysypane na tapczan drobiazgi. Nie zwracał uwagi na dziewczynę.

- Z tego nic. - Spojrzał na nią groźnie. - Gdzie jest wisior?

Uśmiech znikł mu z twarzy, zaczął rozrywać torebkę. Przewrócił ją na lewą stronę. Wyrwał podszewkę. Ze złością rzucił na podłogę.

- Gdzie jest?! Gdzie?! - Złapał dziewczynę za gardło. - Mów, bo będę przykry - wysyczał. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości.

Powtórnie zadzwonił telefon. Celina szarpnęła się i wyciągnęła rękę. Gabor błyskawicznie przycisnął słuchawkę do aparatu.

- Odejdź stąd - powiedział z groźbą w głosie.

- Lala, to nie są żarty. Tu chodzi o życie. Cofnęła się, przestraszona, w głąb pokoju.

- Stój tam i nie zbliżaj się do telefonu - powiedział, cały czas trzymając rękę na aparacie.

- A teraz mów, gdzie jest wisiorek.

Na twarzy Celiny malowało się zdumienie. Nie rozumiała, o co chodzi.

- Jaki wisiorek? - powiedziała łagodnie, starając się wyjaśnić nieporozumienie. - O czym pan mówi?

Gabor wściekł się.

- Jaki? - Czuł się oszukany. - Duży, piękny brylant. Już wiesz jaki? - zapytał z drwiącą wściekłością. - Spodobał ci się. Ale mnie też. Dawaj, bo poszukam sam. A zacznę od ciebie - zagroził.

- Masz ładne majtki.

Zrobił krok w kierunku Celiny.

- Ratunku! - krzyknęła.

Gabor doskoczył do niej. Z zamachem uderzył ją w twarz. Dziewczyna upadła na ziemię.

- Nie denerwuj mnie, dzidzia. Masz ładną buzię, a po mnie żaden doktor szykownie ci jej nie pozszywa. Dawaj! - krzyknął.

Celina leżała na ziemi. Wytarła ręką krew ciekącą z nosa. Była bliska spazmów. Gabor stał rozkraczony, jakby szykował się do kolejnego ciosu.

- Mogę ci dać osiemset złotych - zaszlochała.

- Wszystko, co mam w domu.

- Nie przyszedłem po twoje pieniądze - powiedział pogardliwie. - Kto to był ten

długowłosego goryla, z którym byłaś w knajpie? On ma? - nagle doznał olśnienia.

Celina nie miała siły się podnieść, uklękła na obu kolanach. Mocniej otuliła się szlafrokiem, który rozsunał się podczas szamotaniny. Podniosła zapłakane oczy na Gabora. Tusz rozmazał się jej na twarzy.

- Sam go o to zapytasz. Zaraz tu przyjdzie - rzuciła hardo. - Michał! Ratunku!... - wrzasnęła.

Gabor złapał ją za szlafrok, uniósł i rzucił na tapczan. Skuliła się, zasłaniając rękoma.

- Kurwa mać - zaklął.

Wziął zamach i uderzył ją obiema rękami. Złapał za włosy i przycisnął twarzą do tapczanu. Celina broniła się coraz słabiej.

Nagle Gabor poczuł tępy ból z tyłu głowy. Bez czucia osunął się na ziemię.

Przed domem Celiny zatrzymała się taksówka. Wysiadł z niej kierowca, który odwoził dziewczynę z restauracji. Stał, spojrzawszy w górę, czy w którymś oknie kamienicy świeci się światło. Zsunął do tyłu kaszkiet i podrapał się w głowę.

Wszedł do klatki schodowej. Sięgnął ręką do kieszeni i wyjął kwit z pralni. Jeszcze raz przeczytał nazwisko. Stał przed listą lokatorów i wodząc po niej palcem, szukał lokalu. Wreszcie ruszył do windy. Nacisnął przycisk i czekał. Jednak winda nie zjeżdżała. Jeszcze raz wcisnął guzik. Znowu nic. Westchnął ciężko i zaczął wchodzić po schodach. Nie zauważył, że ktoś na ulicy obserwuje go zza załomu muru.

Kierowca wspiął się na pierwsze piętro. Przystanął lekko zdyszany, by złapać oddech. Nagle zaniepokoiły go jakieś szmery i kroki. Usłyszał ściszony szept. Przysunął się do muru i cofnął. Na piętrze uchyliły się drzwi. Ostrożnie wyjrzała dziewczyna, którą przywiózł. Po chwili dała znak komuś, kto znajdował się wewnątrz. Z mieszkania wyszedł długowłosego chłopak, ciągnąc za nogi bezwładne ciało.

Chłopak odwrócił trupa głową w stronę windy, odsunął nogą damski but blokujący drzwi i upchnął ciało w środku. Następnie nacisnął najniższy przycisk, domknął drzwi i cofnął się do mieszkania. Dziewczyna jeszcze raz rozejrzała się wokół, schyliła po pantofel i cicho weszła za nim.

Taksówkarz nie mógł zebrać myśli. Rozejrzał się bezradnie. Spojrzawszy na windę. Po chwili znów na drzwi. W ręku wciąż trzymał kwit z pralni, który zamierzał oddać. Nie mógł się zdecydować, co zrobić.

Nagle dźwig ruszył w dół. Taksówkarz drgnął. W przejeżdżającej windzie wyraźnie widział zakrwawioną twarz. Patrzył jak zahipnotyzowany, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Winda zjechała na parter.

Kierowca otrząsnął się z transu. Spojrzał jeszcze raz na drzwi. Wsadził kwit do kieszeni i otarł spocone czoło. Wysunął się z ukrycia i ostrożnie ruszył schodami w dół, starając się robić jak najmniej hałasu. Doszedł do parteru. Zatrzymał się, rozważając, co dalej. Spojrzał na windę, ale nie miał odwagi otworzyć drzwi. Idąc korytarzem jak najbliżej przeciwległej ściany, skierował się do wyjścia.

Nagle usłyszał warkot odjeżdżającego samochodu. Wybiegł na ulicę. Zobaczył, jak jego taksówka znika za zakrętem.

Pobiegł za nią kawałek, machając rękoma, ale po chwili zrezygnował. Zatrzymał się, nie wiedząc, co robić dalej. Rozejrzał się dookoła. Na rogu stała budka telefoniczna. Prawie biegiem ruszył w jej stronę.

Nerwowo sięgnął po słuchawkę. Zaczął przeszukiwać kieszenie w celu znalezienia monety. Uderzył się w czoło, kiedy przypomniał sobie o bezpłatnym połączeniu alarmowym.

Było już bardzo późno. W wydziale paliły się tylko lampki na biurkach, górne światła były zgaszone. Borewicz, rozwalony w fotelu, czytał książkę. Co chwila wybuchał śmiechem. Naprzeciwko przy biurku siedział Zubek, z namaszczeniem rozwiązując krzyżówkę. Denerwowało go zachowanie Sławka. Nie mógł się skupić. Po kolejnym wybuchu śmiechu kolegi podniósł głowę. Spojrzał z wyrzutem.

- Co was tak śmieszy?

Borewicz podniósł głowę znad książki.

- Niech pan posłucha. - Zaśmiał się znowu. - Szczęście żonatego mężczyzny zależy od liczby kobiet, których nie poślubił.

Znowu wybuchnął śmiechem. Zubek z dezaprobatą pokręcił głową.

- Współczuję pańskiej przyszłej żonie.

W tym momencie zadzwonił interkom. Borewicz dźwignął się leniwie z fotela i przycisnął guzik.

- Tak? - zapytał.

- Poruczniku - usłyszał - dzwoni dyżurny z Żoliborza. Mają zgłoszenie kradzieży

taksówki.

- To szukajcie - odparł bez emocji. - Miesiąc temu mnie to interesowało.
- Chwileczkę - zaprotestował dyżurny. - Kierowca chce koniecznie rozmawiać z

kimś z oficerów z Komendy Stołecznej.

- A o co chodzi? - Borewicz był wyraźnie znudzony.
- Mówi, że ważna sprawa. Starszy gość, kresowiak. Tak śmiesznie zaciąga.

Przyjmiecie, czy spławić?

- Kołduny umie robić? - zażartował Sławek.

W słuchawce na chwilę zaległa cisza.

- Nie, na kołtuna nie wygląda... - padło z drugiej strony.

Borewicz uśmiechnął się.

- Dobra - powiedział. - Dawaj go. Zaraz zejde.

Taksówkarz był niespokojny. Nerwowo przestępował z nogi na nogę, w rękach miętosił kaszkiet. Patrzył z uwagą na Borewicza.

- Ja na siedzeniu kwit z pralni znalazł na dwa tysiące garderoba - zaczął śpiewnie - a na nim adres tej panienci, co ją wiózł. To ja wrócił, by oddać - relacjonował.

- I zajrzał pan do tej windy? - przerwał Borewicz.

- O nie - pokręcił głową. - Bojaźno mnie było. Ja na nieboszczyka patrzeć nie lubię - dodał stanowczo.

Borewicz w zakłopotaniu podrapał się w głowę.

- No dobra - powiedział. - Sprawdźmy.

Rozległo się natarczywe stukanie. Spojrzał na zegarek. Tymoski nikogo się nie spodziewał. Podeszedł niespiesznie do drzwi i wyjrzał przez wizjer. Ujrzał zniekształconą soczewką twarz Oleszuka. Zdziwił się. Odsunął twarz od wizjera. Powoli zaczął odryglowywać drzwi. Wpuścił gościa. Wyjrzał na korytarz i sprawdził, czy nikt go nie widział. Cicho zamknął drzwi.

- Wiesz, że nikomu nie wolno tu przychodzić - powiedział ostro.

- Ale się wyczekałem - odparł Oleszuk. Tymoski odwrócił się i poszedł do pokoju.

Oleszuk przez chwilę stał w przedpokoju, czekając na zaproszenie. W końcu, nie zdejmując palta, podążył za gospodarzem. Pokój sprawiał przygnębiające wrażenie.

Urządzony był starymi gdańskimi meblami. Ciemne, ciężkie. Na środku stał duży stół z



grubym blatem na masywnych rzeźbionych nogach. Gość od razu usiadł przy stole. Wziął do ręki jakiś bibelot i bawił się nim, obracając go w rękach. Czuł się jak u siebie.

Tymoski stanął po drugiej stronie stołu. Jego mina wiele mówiła. Nie był zadowolony z wizyty. Oleszuk popatrzył spode łba.

- Zmyłeś się nagle, zostawiając mnie z tą cizią - powiedział z wyrzutem. - Trzeba było załatwić, jak obiecałeś.

- I tak mam niewiele dla ciebie - odparł Tymoski z rezygnacją.

Odwrócił się plecami i sięgnął do kredensu. Wyjął wódkę i kieliszki. Postawił na stole. Zdjął marynarkę i powiesił na oparciu. Odsunął krzesło, by usiąść. W tym momencie Oleszuk zauważył, że Tymoski ma krew na koszuli. Wbił wzrok w kompana.

- Zaciąłeś się przy goleniu? - zapytał drwiąco.

Tymoski nie zareagował. Usiadł naprzeciwko i z namaszczeniem rozlał wódkę do kieliszków.

- Wypij - powiedział spokojnie i przesunął kieliszek w stronę Oleszuka.

Ten stanowczo odsunął wódkę. Popatrzył na Tymoskiego z lekceważeniem.

- Potrzebuję szmalu - powiedział stanowczo.

Tymoski wypił.

- Mówiłem, że Amerykanka skrewiła, bez metryki nie weźmie. Coś jej zaśmierdziało - zaczął tłumaczyć jak dziecku - a z reszty też jest na razie niewiele.

Ruskie barachło.

Sięgnął do kieszeni. Położył na stole pięć banknotów tysiąc złotych. Oleszuk lekceważąco strzelił palcami w banknoty, aż lekko odfrunęły. Rosła w nim wściekłość.

- Jest drobna komplikacja - kontynuował jak gdyby nic Tymoski. - I może być robota. Zapamiętaj adres: Bursztynowa dziewiętnaście. Mieszka tam samotna dziewczyna, ale doskakiewicz...

- Nie chcę już żadnych robót! - Oleszuk podniósł głos. - Ja się muszę wreszcie urządzić. Pierdłem już prześmiardłem.

- Na razie to jeszcze ciągle ja decyduję, co będziesz robić - upomniał go z pogroźką w głosie Tymoski.

- Muszę spauzować.

- Mordę w kubeł! - Tymoski robił się wulgarny. - Spierdoliłeś robotę, a ja mam cię

urządzać?! - krzyknął.

Oleszuk gwałtownie wstał, przewracając krzesło. Poczerwieniał na twarzy. Dyszał. Opanował się jednak i usiadł z powrotem.

- Ale sześć lat to ła ba ja nadstawiam - powiedział z ledwo hamowaną złością. - Rządzić każdy potrafi. Nie będę więcej. Biorę wisior i spierdalam. I to dziś. Poniał?

Tymoski sięgnął po butelkę. Spojrzał przeciągle na Oleszuka.

- Nie podskakuj. Nie lubię żartów, jeśli chodzi o pieniądze, zwłaszcza - zawiesił głos - jeśli chodzi o duże. Ja też wiem o tobie sporo, głupi fajfusie.

Oleszuk nie wytrzymał. Poniosły go nerwy. Złapał za zwisający obrus i gwałtownym ruchem zrzucił na ziemię wszystko, co stało na stole. Butelka i kieliszki rozprysły się na drobne kawałki. Oleszuk bliski hysterii już nie panował nad sobą.

- Co?! Ty mnie będziesz straszyl? Ty wy-perfumowana gnido. Dostyc już nachapałes się szmalu. Inaczej się teraz podzielimy. W dupie mam twoich dawnych koleśiów z Rakowieckiej. Przystaniesz opłacać chłopczyków z parafialnego chóru.

Tymoski siedział spokojnie, patrząc na Ole-szuka prawie rozbawionym wzrokiem. To jeszcze bardziej go rozsierdziło. Kiedy Tymoski sięgnął do tylnej kieszeni w spodniach, Oleszuk chwycił za rant dębowego stołu i przewrócił go na Tymoskiego. Tymoski spadł z krzesła. Przygnieciony ciężkim stołem, krzyknął z bólu i stracił przytomność. Oleszuk stanął nad nim okrakiem i przydeptując mu szyję nogą, syknął:

- Można być skurwysynem, ale złodziejem trzeba być uczciwym.

Borewicz w towarzystwie Zubka i taksówkarza wszedł do kamienicy. Podążali za nimi dwaj milicjanci w mundurach. Taksówkarz zachowywał się bardzo nerwowo. To przyspieszał, by wskazać miejsce przestępstwa, to znów zatrzymywał się, przepuszczając funkcjonariuszy przodem. Wciąż gniótł w rękach kaszkiet.

Borewicz wcisnął przycisk windy. Mechanizm zazgrzytał, winda powoli zaczęła zjeżdżać na dół. Czekali w napięciu. Wreszcie zatrzymała się na parterze. Borewicz otworzył drzwi. Taksówkarz odruchowo się cofnął. Przeżegnał się z przerażeniem. Winda była pusta. Tylko na podłodze widać było roztartą plamę.

- No i co, panie Dołmontowicz - westchnął Zubek. - Może to nie ta winda?

Borewicz powoli zamknął drzwi. Na jego twarzy malował się sceptycyzm. Jednak zastanowiła go ta plama.

- Dać ja pokażę, z których drzwi go wywlekli. - Taksówkarz uderzył się w piersi na znak, że mówi prawdę.

Borewicz bez słowa ruszył schodami w górę. Zubek, sapiąc, podążył za nim.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Michał i Celina objęli się o siebie, usiłując w pośpiechu posłać łóżko i jednocześnie uprzątnąć pokój. Pukanie powtórzyło się. Tym razem było bardziej stanowcze.

- Dobra, już otwieraj - powiedział Michał.

Zaczął szybko się rozbierać. Kolejne części garderoby rzucał na krzesło. Zdążył włożyć górę od pidżamy i wskoczył do łóżka. Ręką zmierzył sobie włosy i przyjął pozycję rozleniwionego adonisa.

Tym razem ktoś uderzył w drzwi pięścią.

- Proszę otworzyć! - usłyszeli zniecierpliwiony głos. - Milicja.

Walenie powtórzyło się.

- Już, już! - krzyknęła Celina, aby zyskać na czasie.

Obrzuciła pokój spojrzeniem. Zdążyła jeszcze przesunąć dywanik, aby zakryć ślad krwi na podłodze. Ręką zagarnęła włosy, zasłaniając rozciętą wargę. Podeszła do drzwi. Poprawiła szlafrok. Jeszcze raz nerwowo obejrzała się za siebie. W końcu otworzyła.

Do pokoju, w którym leżał Michał, weszli Zubek, Borewicz i Dołmontowicz. Zubek wyciągnął legitymację i pokazał Celinie. Zaczęli się rozglądać. Borewicz uśmiechnął się. Sytuacja była trochę niezręczna.

- O co chodzi? - zapytała Celina.

Zubek był skonfundowany. Zawahał się z odpowiedzią. Borewicz nie przestawał się rozglądać.

- Poznaje pani tego pana? - zapytał, wskazując taksówkarza.

Dołmontowicz, który stał z tyłu, karnie się wychylił. Dziewczyna spojrzała zdumiona.

- Tak - odparła. - Pan jest z taksówki.

Borewicz odwrócił się i zmierzył Celinę uważnym spojrzeniem. Speszyło ją to, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Ten pan znalazł kwit z pralni - powiedział Borewicz, wskazując taksówkarza.

Dziewczyna wyciągnęła rękę. Przez chwilę stała zaskoczona, zastanawiając się, co

ma z nim zrobić. Sytuacja ją przerosła. Michał patrzył, też nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi.

Borewicz najwyraźniej to bawiło. Odwrócił się od Celiny.

- Pan tu mieszka? - zapytał Michała.
- Nie - zaprzeczył chłopak.
- O której pan tu przyszedł? - zawtórował Zubek.
- Niedawno - odparł Michał niechętnie. - Posprzecaliśmy się w lokalu i właśnie

się przepaszaliśmy.

- Widzę - mruknął z przyganą Zubek, ale tak cicho, że chyba nikt go nie usłyszał. -

O co poszło? - drążył.

Borewicz znudzony wyglądał przez okno.

- Po to się pan fatyguje tutaj nad ranem? Troska socjalistycznej władzy o pożyacie erotyczne par niepoślubionych? - Michał był rozeźlony.

- Tyś wzywała może panów? - zapytał drwiąco i spojrzał na Celinę.

Borewicz odwrócił się. Nie podobało mu się zachowanie chłopaka. Dziewczyna usiadła na brzegu łóżka.

- Narzeczony był zazdrosny - powiedziała cicho - bo rozmawiałam z jednym panem.

- Z tym, którego wynieśliście zakrwawionego do windy? - zaatakował Zubek.

Celina nie zdążyła odpowiedzieć. Wystraszyła się.

- O czym my tu mówimy? - zdenerwował się Michał. - Panowie są z dozoru technicznego dźwigów?

Borewicz gwałtownie się schylił i zdarł z chłopaka kołdrę. Zapanowała cisza. Michał leżał w spodniach i butach.

- Pan zawsze sypia u narzeczonej w butach?
- zapytał z kpina Borewicz. - Żarty proszę schować dla kolegów. Rozmawia pan z patrolem milicji i jest pan podejrzany o zamordowanie człowieka
- ostro zakończył. - Tak że przestań się wyglupiać. Z powrotem nakrył go kołdrą.
- Co to był za człowiek? - zapytał Celinę.
- I po co tu przyszedł?

Celina nie wytrzymała napięcia. Schowała twarz w rękach i wybuchnęła płaczem.

- Przyszedł i rzucił się na mnie - szlochała.
- Powiedział, że przez roztargnienie włożył do mojej torebki wisior z brylantami...
- Wisior? - powtórzył ze zdziwieniem Borewicz. - Jaki wisior, proszę pani? -

Złagodniał, widząc płaczącą dziewczynę. Jak rasowy glina chciał jednak wydobyć z niej wszystkie informacje.

Celina, widząc zainteresowanie porucznika, zaczęła opowiadać z przejęciem.

- To wampir, proszę pana, rzucił się na mnie i ciągle powtarzał: „Nie stać mnie na takie prezenty. Brylant pięć i pół karata”. Opera, co?

- podniosła zapłakane oczy.

Rozcięta warga mocno jej napuchła. Patrzyła na Borewicza, jakby u niego szukając ratunku.

- Pobił mnie.

Borewicz przeszedł się po pokoju, stanął za dziewczyną i wskazał Michała.

- I zdążyła pani wezwać pana na pomoc? - zapytał z niedowierzaniem.
- Dzwoniłem dwa razy - odparł chłopak. - Kapnąłem się, że ktoś tu jest. Ze coś się dzieje.

Michałowi nagle zaświtała jakaś myśl. Poderwał się gwałtownie z łóżka i przyskoczył do Celiny. Złapał ją za ramię. Ścisnął.

- Kiedy mu zdążyłaś dać adres? - wysyczał. Nie zainteresowała go sprawa wisiora.
- Mów, zdiro!

Dziewczyna próbowała wyszarpnąć rękę. Nie puszczał. Skrzywiła się z bólu.

- A może sama go tu zaprosiłaś? - nie ustępował.

Borewicz spojrzał na tapczan. Jego uwagę przykuł pewien szczegół. Porwana torebka.

- I co pan z nim zrobił? - zapytał Michała. - Konkretnie i dokładnie.

Chłopak momentalnie się uspokoił. Wzruszył ramionami, jakby chciał zbagatelizować zajście.

- Co miałem robić? Przyłożyłem mu zdrowo i poszedł.
- Wynieśliście zwłoki do windy - wtrącił Zu-bek oburzony.

Chłopak gwałtownie odwrócił się w jego stronę. Zrobił krok naprzód.

- Znalazł pan trupa w windzie? - spytał zaczepnie. - Pan go pokaże.

W tym momencie usłyszeli pukanie do drzwi. Wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę. Drzwi delikatnie się uchyliły. Wszedł milicjant. Zasalutował.

- Już mają tę pana warszawę - powiedział do Dołmontowicza. - Stoi porzucona przy gliniankach na Sadybie.

Na ekranie w sali Zakładu Kryminalistyki wolno zmieniały się obrazy. Taksówka Dołmontowicza, wsparta o drzewo. Otwarte drzwi z widocznym wnętrzem. Ślady stóp na błocie. Obok linijka i numer kryminalistyczny. Powiększone zdjęcia linii papilarnych. Zdjęcie twarzy Gabora. Z prawego profilu. Lewego. Na wprost. Fakty relacjonowała młoda laborantka.

- Drugie ślady z taksówki, te same, co na słuchawce i w mieszkaniu tej dziewczyny, rejestrowane. Dossier ZK sto osiemdziesiąt trzy. Trzykrotnie karany, miesiąc temu zwolniony, złodziej kieszonkowy, Rajmund Gabor. Działa w pojedynkę. - Dziewczyna wyłączyła projektor. Złożyła akta, spojrzała na Borewicza. - Mieszka przy Podleśnej dziewięćdziesiąt trzy.

Borewicz lekko się przeciągnął. Był wyraźnie znudzony.

- Paser, złodziej, kieszonkowiec... - zaczął przedrzeźniać. - Czy ja nie mógłbym prowadzić raz śledztwa przeciwko wysokiej blondynce o niebieskich oczach? - rozmarzył się.

Podszedł do dziewczyny.

- Może pani by coś zmalowała? - Uśmiechnął się do laborantki. - Jestem podobno czarujący w czasie przesłuchań. Pani Jadziu - powiedział przymilnie - zróbcie mi tę łuskę od walthera na jutro.

Dziewczyna wzięła akta, szykując się do wyjścia. Uśmiechnęła się. Spojrzała na zegarek.

- Dwie osoby na zwolnieniu - powiedziała - ale spróbuję. Niech pan wpadnie za trzy godziny.

- Będzie pani jeszcze? - zdziwił się.

- Tak, mam dziś noc - odrzekła.

Borewicz spieszył się. Wcisnął gaz. Brązowy fiat przyspieszył. Nagle zauważył stojący w poprzek jezdni rozbity samochód. Milicjanci z drogówki spisywali protokół. Obok stała karetka.

Zaklął cicho pod nosem. Ostro skręcił, wjechał na chodnik, by ominąć zator. W momencie, kiedy zjeżdżał z powrotem na jezdnię, doskoczył do niego milicjant.

- Gdzie, palancie? Gdzie ci się tak spieszy?! - krzyknął ostro. - Daj mu dwie stowy - polecił koledze, wskazując Borewicza.

Do samochodu podszedł drugi, dużo młodszy, funkcjonariusz.

- Dokumenty proszę - zasalutował. Borewicz opuścił szybę.

- Zapiszcie sobie mój numer rejestracyjny - powiedział ze skrywanym zdenerwowaniem - a sierżant niech się jutro zgłosi o ósmej do naczelnika Kowalczyka. I niech mu sam opowie, jak odzywa się do kierowców. Do widzenia.

Machnął ręką i szybko odjechał. Milicjant stał przez chwilę, patrząc za oddalającym się wozem. W końcu odwrócił się do kolegi.

- Wiesz, co mi powiedział ten twój palant?

- Co? - burknął sierżant.

- Jutro rano dywan u starego.

Borewicz wjechał w boczną uliczkę na peryferiach miasta. Zatrzymał się przed parterowym drewnianym domkiem. Zerknął na tabliczkę z adresem. Podleśna 93. Zgadzało się. Porucznik wysiadł z samochodu. Rozejrzał się. Obok domu stały jakieś komórki. Wszystko przysypane grubą warstwą śniegu. Skierował się do drzwi. Zapukał.

- Proszę - rozległ się miły damski głos.

Wszedł do czysto utrzymanego pokoju. W rogu przy stole stała duża choinka. Mocno już opadła, była częściowo rozebrana. Otwarte pudełka na ozdoby leżały na podłodze. Za choinką na taborecie stała szczupła młoda kobieta.

- Proszę - wychyliła się i powtórzyła zachęcająco.

Borewicz wszedł głębiej. Szybko zlustrował mieszkanie.

- Dzień dobry. Porucznik Borewicz, Komenda Miasta - przedstawił się. - Czy pani Magda Zulik?

Kobieta skinęła głową.

- Znowu areszt? Rajmunda nie ma w domu - powiedziała, nie przerywając rozbierania choinki. - Jak rewizja, to proszę. Nawet bez nakazu.

Widząc, że Borewicz dalej rozgląda się po mieszkaniu, powtórzyła łagodnie:

- Rajmunda naprawdę nie ma. Jak wyszedł wczoraj, to jeszcze nie wrócił.

Porucznik stanął w pobliżu choinki.

- Nie niepokoi się pani tym? - zapytał. Dziewczyna się zawstydzila. Zaczęła skubać ozdobę, którą właśnie trzymała w ręku.

- Przywykłam - odrzekła, nie patrząc na Borewicza.

Porucznik uniósł brwi, zdziwiony tym, co usłyszał. Usiadł przy stole, wyjął wizytówkę i coś zapisał na odwrocie.

- Jak tylko wróci, niech się zaraz zgłosi pod ten adres - położył wizytówkę na stole.

- To pan nie na rewizję? - zdziwiła się Magda.

- O Boże, to on naprawdę nie siedzi! - ucieszyła się. W jednej chwili zeszła z taboretu i stanęła przy oknie.

- Przepraszam bardzo, że pytam - Borewicz czuł się niezręcznie. - Od ilu lat pani z nim jest?

Dziewczyna, nie odwracając się od okna, westchnęła.

- Od sześciu - powiedziała cicho. - Nieraz dłużej go nie ma, potem rewizja... i paczki do aresztu, potem rozprawa i znowu go nie ma. Ale wtedy już na dłużej. Może pan nie szukać. - Odwróciła się od okna i spojrzała na porucznika dużymi łagodnymi oczyma. - On tu nigdy nic nie przynosi, wie, że na to się nie zgodzę. Poprzednio też tu nic nie znaleziono.

- Jak pani to wytrzyma?

Magda odłożyła w końcu bombkę. Zamknęła pudełko. Na jej twarzy błąkał się smutny uśmiech. Spojrzała na Borewicza. Ciężko usiadła na taborecie. Złożyła ręce między kolanami.

- Proszę pana - zaczęła, patrząc w podłogę - są garbaci, niewidomi, chorzy. Powiedziałam sobie kiedyś, jak już wszystkiego próbowałam, że Rajmund też jest jak kaleka. - Podniosła głowę. - No bo co to jest, jeśli człowiek prowadzi takie życie?

- zapytała samą siebie. - Ciągłe w strachu, ciągle w ucieczce. Żeby przynajmniej miał coś z tego, ale przecież gdyby nie ja... - westchnęła.

- Niech więc już przynajmniej ma dokąd wracać z tego więzienia i niech ma łóżko zamiast pryczy, gorącą zupę.

Borewicz siedział bez ruchu. W skupieniu słuchał słów Magdy. Wydała mu się kimś niezwykle wzruszającym, niespotykane dobrym. Zamyślił się. W końcu wstał i skinął



głową na pożegnanie. Dziewczyna patrzyła na niego zrezygnowana swymi wielkimi, czarnymi oczyma. Była nawet ładna w tym smutku i pełna kobiecego przywiązania.

Borewicz wszedł do samochodu. Cały czas myślał o Magdzie. Jak ta dziewczyna mogła pozostać taka? Sięgnął po mikrofon.

- Ja 07. Macie już coś w sprawie tego walthera?

Brązowy fiat zatrzymał się przed obskurną bramą na warszawskiej Pradze. Z secesyjnej kamienicy całymi płatami odpadał tynk. Balkon po lewej wyglądał, jakby miał za chwilę runąć przechodniom na głowę. Borewicz w towarzystwie umundurowanego weszli przez bramę na rozległe podwórze, którego środek zdobił posąg Matki Boskiej.

- Ani wódki, ani chłopów - powiedział dzielnicowy. - Magluje bieliznę i z tego żyje. Jakaś krewna przysyła jej co miesiąc siedemset złotych. Obym gorszych nie miał... - Machnął ręką.

Minęli podwórze i weszli do bocznej oficyny. Na wielokrotnie malowanych drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Magiel”.

Wnętrze było bardzo skromne. Gołym okiem widać, że właścicielka dokłada starań, aby panował tu porządek. Niedawno pobielone ściany lśniły czystością. Urządzenia do maglowania pracowały równomiernie. Grubawa kobieta stała tyłem do wejścia. Pyskała właśnie ustami wodę na magłownik.

- Dzień dobry, pani Czudrasiowa - odezwał się głośno dzielnicowy. Czuł się tu swobodnie.

Kobieta odłożyła pojemnik z wodą i odwróciła się do przybyłych. Patrzyła zdziwiona.

- Pan porucznik chciałby się dowiedzieć, jak się pani żyje bez męża.

- Dzień dobry, panie dzielnicowy - uśmiechnęła się, wycierając ręce w fartuch.

Borewicz z zainteresowaniem oglądał urządzenie do maglowania. Pamiętało chyba czasy przedwojenne, jak i ta kamienica.

- Niech pani sobie nie przeszkadza - powiedział. - Ja z chęcią popatrzę, jak to działa.

Czudrasiowa wsunęła wałek pod prasę i zaczęła maglować.

- Jaki tam chłop był, to był, ale był - stwierdziła filozoficznie. - A bez chłopca ciężko - westchnęła.

- Widuje pani męża?  
- Widzenia są co miesiąc. Ja raz na trzy jadę. Dzieci nie ma z kim zostawić. A za te pieniądze, co na bilet, to wolę mu paczkę posłać. - Pokiwała głową.

- No a te przekazy, co pani dostaje?  
- Ano, jest to stały grosz, w każdym miesiącu czekam, przyjdzie, czy nie przyjdzie. Ale żeby nie dzieci, to za Boga bym od niej nie brała. - Uderzyła się w piersi.

- Dlaczego? - Borewicz zapytał zdziwiony. Czudrasiowa przerwała na chwilę pracę. Wzięła się pod boki.

- Jak to nieszczęście z moim spadło, to taki list przysłała: „Nie chcę was znać ani widzieć na oczy”. A za dwa dni przyszło siedemset złotych. Przez pocztę. I tak od tej pory co miesiąc.

Borewicz słuchał z uwagą. Zastanowiło go to, co mówiła Czudrasiowa.

- To w końcu nie najgorsza, skoro pomaga?

Czudrasiowa machnęła lekceważąco ręką i znowu wzięła się do roboty.

- Wie pan: lepiej nie daj i nie łaj. Ona Kazka od bandytów nawzywała... Ile ja nocy przeplakałam, przecie to mąż i ojciec. A ona: „Zeby wasza noga u mnie nie postąła”... - otarła łzę z policzka. - Ale to się tak mówi, że w pysk rzucę... A jak przekaz przychodzi, to biorę i czekam, czy następny przyjdzie.

Borewiczowi nagle zaświtała jakaś myśl. Charakterystycznym ruchem podrapał się po głowie.

- Czy mogłaby pani pokazać mi taki przekaz?

Czudrasiowa zatrzymała się w pół kroku. Nie wiedziała, co zrobić. Spojrzała pytająco na dzielnicowego. Milicjant uspokajająco pokiwał głową.

- Pani da, pani Czudrasiowa.

Kobieta odwróciła się i sięgnęła do szuflady. Wyjęła zwitek odcinków. Wzięła jeden i podała Borewiczowi.

- Z ostatniego miesiąca - powiedziała niepewnie. Porucznik wziął odcinek do ręki. Położył na stole i wyjął notes, aby zapisać adres nadawcy. Na odcinku zamasztyłym pismem ktoś napisał adres: Leokadia Czudraś, Miedziana 3 m. 6.

Borewicz stanął przed listą lokatorów. Przez chwilę się zastanawiał, po czym podszedł do drzwi dozorcówki. Zapukał. W drzwiach uchylił się lufcik. Wyrzała

staruszka w chustce.

- Przepraszam panią, czy w tym domu mieszka pani Leokadia Czudraś? - zapytał.
- Mieszkała, proszę pana - odparła starowinka. - Mieszkała pod szóstym. Ale już

chyba dwa lata, jak nie żyje.

Borewicz zdziwił się.

- Czy pani jest tego pewna? Może się wyprowadziła?
- Byłam na jej pogrzebie - odrzekła. - Jeszcze wtedy wychodziłam z domu. Syn

będzie o czwartej, to pan może sprawdzić. Starym ludziom to zawsze nie wierzą - dodała zrzędliwie. - Jak ci w rządzie, tam na górze, to samo.

Ze złością zamknęła lufcik w drzwiach dozorcówki. Borewicz przez chwilę stał w zamyśleniu przed zamkniętymi drzwiami. Wreszcie odwrócił się i wyszedł na ulicę.

Pod ścianą przy stoliku siedział więzień, Kazimierz Czudraś, naprzeciwko zajął miejsce Borewicz. Przez zakratowane okienko tuż pod sufitem sączyło się światło. Panował półmrok. Mężczyzna wyglądał na czterdzieści, może pięćdziesiąt lat. Był bardzo zniszczony życiem. Nie sprawiał wrażenia okrutnego bandziora. Zwykły sympatyczny jegomość. Borewicz przyglądał mu się w milczeniu. Na stoliku stały warcaby. Pionki ulepione z chleba. Jedne okrągłe, drugie kwadratowe. Czudraś kiwał się na krzeselku. Robił to prawie bezwiednie. Był apatyczny.

- Pański kompan z Łomży znowu strzelał - odezwał się w końcu Borewicz. - Tym razem w Warszawie. Ma pan szczęście, panie Czudraś. Tym razem zastrzelił wspólnika. Pan żyje.

Czudraś wpatrywał się beznamiętnie w blat stołu.

- Przecież ja nie mam z tym nic wspólnego - powiedział spokojnie. - Wszystko powiedziałem w sądzie.

- Ma pan. - Pokręcił głową porucznik. - Przekazy pieniężne, które otrzymuje pańska żona - wyjaśnił.

Czudraś nadal kiwał się lekko na krześle. Rzucił ukradkiem spojrzenie na Borewicza, nie dał się sprowokować.

- To przesyła moja krewna - wyjaśnił. Borewicz odczekał chwilę, wreszcie się odezwał:

- Panie Czudraś, pan zdaje się wierzy w życie pozagrobowe. - U mnie z tym przekonaniem jest gorzej - dodał kpiąco.

Czudraś przestał się kiwać, spojrzał z zainteresowaniem na swego rozmówcę.

- Bo krewna od dwóch lat nie żyje - dokończył Borewicz.

Czudraś znów zaczął się kiwać. Nie był zainteresowany tymi rewelacjami. Sięgnął ręką do warcabów. Przetawiał pionki od strony Borewicza. Przebił swoimi.

- Coś panu powiem - zaczął. - Odsiedziałem cztery lata. Niech pan nie traci czasu. Ja wszystko powiedziałem w sądzie. Drugi raz za to samo nie wsadzają. A rozmowa towarzyska z gliniarzem mnie nie interesuje.

Borewicz wstał. Popatrzył z góry na Czudrasia.

- I nic pana nie obchodzi, że tamten dalej morduje? Nawet współników?

Czudraś przestał grać. Nadal nie przestawał się kiwać. Nagle zatrzymał się. Spojrzał w stronę Borewicza.

- Każdy odpowiada za siebie - powiedział dobitnie - i każdy żyje na własny szcztot. Borewicz słuchał w milczeniu.

- Do widzenia, panie Czudraś - odezwał się po chwili. W jego głosie słychać było rezygnację.

Wyszedł. Czudraś nadal kiwał się zamyślony na krześle, jak dziecko ogarnięte chorobą sierocą. Milczał, bo wiedział, że tu, w świecie za kratami, istnieje pojęcie solidarności, tyle że nazywa się dintojrą.

Przy biurku w gabinecie Zubka siedział Michał. Był bardzo zdenerwowany. Gestykulował. Co chwila podnosił się i znów siadał. Zubek stanął za chłopakiem. Był spokojny. Po pokoju kręcił się Borewicz, niemal nie zwracając na nich uwagi. Szukał jakichś dokumentów.

- To zaczynicie wreszcie mówić prawdę - powiedział Zubek tonem człowieka, który wie, co mówi. - Możecie sobie tylko pomóc - dodał zachęcająco.

- Nic złego nie zrobiłem, żebym sobie musiał pomagać - obruszył się chłopak. - Niech pan zrozumie. Zaskoczyłem faceta nad Celiną. Już była prawie goła. Rwał na niej koszulę. Cycki na wierzchu. Przyłożyłem mu, zanim zdążyłem pomyśleć. Facet leżał jak kłoda. Pomyślałem, że zabiłem, wpadłem w panikę. Wpakowałem go do windy i fru na dół.

- Nie pomyśleliście, że może trzeba udzielić mu pomocy? - Zubek z dezaprobatą pokręcił głową.

Michała rozbawiła ta uwaga. Uśmiechnął się drwiąco, nie pojmując, co porucznik miał na myśli.

- Człowiek działa na fajerze - wzruszył ramionami. - Co się miałem opierdalać. Facet leży na mojej kobiecie, to ambonę będę odstawiać?

Borewicz znalazł w końcu interesującą go teczkę. Nagle dotarło do niego to, co mówił Michał. Zatrzymał się na moment, przysłuchując się zeznaniom chłopaka. Stał tak przez chwilę z ręką na klamce.

- Potem, jak ochłonąłem, zajrzałem do windy, ale już go nie było. Duch, kurwa, czy co? Przepraszam za dwuznacznik - dodał, widząc niezadowolenie Zubka.

Borewicz nacisnął klamkę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

W gabinecie Borewicza czekała Celina. Nudziła się. Najpierw rozejrzała się wokół, ale nic jej nie zainteresowało. Biurko, kilka krzeseł, szafa, pomieszczenie zupełnie bez wyrazu. Spodziewała się czegoś więcej po mężczyźnie, który pracuje w wydziale zabójstw. Wyjęła lusterko i się w nim przejrzała. Niezadowolona ze swego wyglądu, zaczęła poprawiać makijaż. Kiedy porucznik wszedł do pokoju, pośpiesznie zgarnęła kosmetyki do torebki. Spojrzała na niego zalotnie.

- Pani Celino - Borewicz starał się być zasadniczy - niech mi pani powie, tak szczerze, jak czekista czekać, Michał się o tym nie dowie. Oparł się rękami o blat biurka i wskazał za siebie głową. - Kiedy pani poznała tego Gabora?

Celina uśmiechnęła się najpiękniej, jak potrafiła. Wodziła za Borewiczem rozmarzonym wzrokiem.

- Panie poruczniku, naprawdę, pierwszy raz w życiu widziałem go wtedy wieczorem, gdy mnie zaczepił w szatni - powiedziała z przekonaniem.

Borewicz popatrzył na nią badawczo. Cała ta historia nie trzymała się kupy. Coś jednak przyszło mu do głowy. Jakby dopasował do siebie dwie części większej układanki. Odwrócił się od stołu. Przeszedł kilka kroków w kierunku okna. Wyjrzał.

- A czy mogłaby pani przypomnieć sobie, kiedy otwierała pani torebkę tamtego wieczoru, po rozmowie z Gaborem? - zapytał.

- To pan go zna? - z magnetofonu płynął głos Celiny. Major Wołczyk wcisnął

klawisz. Zapadła cisza.

Zubek i Borewicz siedzieli przy stole. Borewicz bawił się długopisem. Zmarszczył czoło. Zubek jak zwykle był bardzo zasadniczy. - Para gówniarzy - skomentował Wołczyk.

- Myślę, że można ich wyeliminować. A ten taksówkarz? - spojrzał na Borewicza.

Porucznik skrzywił się jeszcze bardziej i pokręcił przecząco głową.

- A dla mnie taksówkarz przywłaszczył sobie wisior - wtrącił z przekonaniem Zubek. - To prywatna inicjatywa - dodał z obrzydzeniem. Trzy taksówki może za to kupić. Ja bym go przycisnął jeszcze raz - dorzucił stanowczo.

Borewicz słuchał przez chwilę wywodów Zubka.

- To nie pojechałby na Mokotowską - zaprotestował.

- Czy samochód spenetrowano dokładnie? - zainteresował się major.

- No - chrząknął Zubek regulaminowo - pobrali odciski palców, ślady krwi, jakieś włosy - wyliczał. - Przeprowadziłem normalne oględziny - stwierdził z przekonaniem.

Borewicz zamyślił się. Nie słuchał tego, co mówi Zubek.

- Panie majorze - przerwał. - Jeśli Gabor w postaci nieboszczyka był w windzie, a myśmy go tam nie znaleźli, to znaczy, że albo on tam przyszedł z kimś, o kim my dotychczas nie wiemy, albo ten ktoś przyszedł tam za nim, o czym on też nie wiedział - mówił z przekonaniem.

- No i co...? - spytał Wołczyk.

Borewicz wstał i zaczął spacerować po gabinecie. Przyspieszył kroku, jakby chciał nadążyć za myślami, które kłębiły mu się w głowie.

- Cofnijmy się - zaproponował. - Z brylantem za kilkaset tysięcy nie chodzi się do knajpy tylko po to, żeby zjeść kolację.

Było już bardzo późno, nawet jak na bywalców nocnego lokalu. Restauracja opustoszała. Wszędzie panował bałagan. Po sali krzątała się obsługa, zmieniając obrusy i myjąc podłogę. Orkiestra składała instrumenty. Piosenkarka wkładała na wydekoltowaną suknię sweter. Borewicz przyglądał się temu bez zainteresowania. Podeszedł do baru. Usiadł. Barmanka szybko mechanicznie sprzątała. Spieszyła się. Spojrzała bokiem na Borewicza jak na intruza. Nawet nie odwróciła się w jego kierunku.

- Nie ma pan czegoś do załatwienia w domu? - zapytała z niechęcią.

- Mam. Hydraulika - odparował. - Ale poczeka.

Barmanka rzuciła na niego szybkie spojrzenie, nie przestając sprzątać baru. Borewicz wyciągnął zdjęcie i pokazał jej z daleka.

- Nazywa się Rajmund Gabor i był tu w zeszłą sobotę - powiedział wyraźnie. - Nie mylę się?

Barmanka odstawiła kolejną porcję naczyń, zmierzyła Borewicza wzrokiem.

Domyśliła się, z kim ma do czynienia. Wreszcie podeszła i wzięła zdjęcie do ręki.

Odłożyła fotografię bez zainteresowania. Przez chwilę zastanawiała się, co powiedzieć.

- A co zrobił? - zapytała w końcu. - Panie poruczniku czy wyżej? Bo się pan nie przedstawił, a MO wyczuję z daleka.

- Zginął - odparł Borewicz.

- Szkoda - przechyliła głowę na bok. - Ładny mężczyzna.

- No więc? - nie ustępował Borewicz.

- Kręcił się - odpowiedziała zdawkowo. Przez chwilę się namyślała. - Może Markiza panu coś więcej powie.

- Tak się nazywa?

Barmanka postawiła na ladzie dwa kieliszki. Nalała wódki.

- Napije się pan? - zapytała. - Tak panowie ją nazywają. Szykowna dupa. - Wydęła pogardliwie wargi. - Ale bierze, co się trafi.

Wyszła zza baru i usiadła koło Borewicza. Zaciekawiona patrzyła, co pisze porucznik.

- Mam prośbę - podał jej służbową wizytówkę. - Mogłaby jej pani to oddać?

Barmanka wypila kieliszek, nawet się nie skrzywiwszy.

- Adresu pan sobie nie ustali? - zapytała z drwiną. - Pańskie koleżanki z Armii Zbawienia znają ją dokładnie nawet po pseudonimie. No to cyk... powiedział budzik do zegara. - Zaśmiała się i wychyliła drugi kieliszek.

73

Markiza mocniej otuliła się tiulowym peniuarem. Westchnęła z rozkoszą, wciągając zapach ulubionych perfum, którym przesiąknięty był materiał. W dużym kryształowym lustrze odbijała się jej twarz. Jedną stronę miała mocno umalowaną. Na głowie perukę. Właśnie mocowała sztuczne rzęsy. Patrzyła na Borewicza drwiąco, prawie z pogardą.

Usiadła przy toalecie. Na stoliku leżało mnóstwo eleganckich drobiazgów. Obok wisiały dwie peruki. Widać było, że dziewczyna lubi się otaczać pięknymi drogimi przedmiotami.

- No więc, co jest grane? - zapytała niegrzecznie. Najchętniej wyprosiłaby nieproszonego gościa za drzwi. Czuła jednak respekt przed milicyjną legitymacją.

- Napad na salon Jubilera - odpowiedział.

Markiza parsknęła śmiechem. Wstała i sięgnęła po papierosy leżące na stole. Borewicz spod ściany obserwował dziewczynę.

- Niech pan się zapyta koleżanek z Armii Zbawienia - prychnęła. - Ja się nie zadaję z kryminalistami. Mój fach to zawód pokrewny miłości. Tyle że za duże pieniądze. - Uśmiechnęła się filuternie. - Ale też bez żadnych komplikacji. Jest pan już dużym chłopcem.

Powoli odwróciła się i przeszła z powrotem do toaletki. Peniuar prześwitywał, pokazując jej piękne, zgrabne młode ciało.

- To już wiem - powiedział ostro Borewicz. - Inaczej wezwalibyśmy panią do Pałacu Mostowskich i miałyby pani drugie oko też tak ślicznie zrobione.

Markizę jakby coś użądliło. Rzuciła się do lustra, by z bliska przyjrzeć się swojemu odbiciu. Nie zadowolilo jej to, co zobaczyła. Rozeźlona, zerwała z głowy perukę. Nachyliła się, by odkleić z oka sztuczne rzęsy. W tym momencie Borewicz podsunął jej przed oczy zdjęcie Gabora, zasłaniając część lustra.

- Rozmawiała pani z nim w zeszłą sobotę przy barze? - zapytał rzeczowo. - Prawda? Czy się mylę?

Markiza mieniła się ze złości na twarzy. Rzuciła wściekłe spojrzenie na stojącego obok porucznika.

- No i podłożyła mi wreszcie świnię! - wybuchła. - Ta krowa, gdyby ją ktoś chciał, prze-siadłaby się zaraz na drugą stronę baru i to dokładnie na moje miejsce. Tylko za obszerna dupa jej nie pozwala.

- Przyjrzała się pani zdjęciu?

Dziewczyna wstała. Trzęsącą się ze zdenerwowania ręką sięgnęła po kolejnego papierosa. Zapaliła. Zmięła pustą paczkę i rzuciła w kąt. Przeszła parę kroków po pokoju.

- Co zmalował? - zapytała, zaciągając się dymem.



- Nic - odpowiedział Borewicz. - Nie podlał w domu kwiatków.

Odwróciła się, poprawiła peniuar.

- A pan chce się z nim na znaczki wymienić? - zapytała drwiąco.

Borewicz podszedł do dziewczyny. Stał przed nią bardzo blisko.

- Proszę pani, to ja przyszedłem się tutaj czegoś dowiedzieć - powiedział ostro. -

Wyszła pani potem za nim do szatni.

- To kurwiszon - zapieniła się Markiza. - Ale dlaczego akurat mnie pasuje tego bojka?! Ja siedziałam z innym, a ten podszedł tylko na chwilę!

Borewicz zainteresował się.

- Z kim pani siedziała?

- Nie prowadzę ewidencji - odburknęła zła, że dała się tak łatwo podejść.

- O czym rozmawiali? Mów. Albo wyjdziemy stąd oboje.

- Nie wiem. Poszli za nim do toalety, a jak wyszli, to ten ze zdjęcia się zmył.

- A ten drugi?

Markiza przez chwilę się nie odzywała. Kipiła w niej jeszcze złość na barmankę.

Szukała sposobu, by się na niej zemścić. Wreszcie podjęła decyzję.

- Też się zaraz za nim zmył. Coś panu powiem, ale tak, żeby ta wywłoka z baru nie wiedziała, że to ode mnie. Niech pan ją zapyta o faceta, do którego zęby suszy i co słowo mu kierownikuje. To z nim siedziałam. To kierownik kina, w którym ostatnio idzie ten western, co się tak ludzie zabijają - mówiła bez przestanku.

- Ale ostatnio go nie widuję. To wredna dupa - dodała.

Borewicz pośpiesznie szedł w stronę kina. Minął obojętnie ludzi stojących w długiej kolejce po bilety. Spojrzał na neon, który świecił, mimo że dzień nie miał się jeszcze ku końcowi. Kiedy przeszedł parę kroków dalej, dogonił go jakiś mężczyzna. Delikatnie złapał za ramię, dając do zrozumienia, że ma coś na sprzedaż. Ukradkiem pokazał bilety. Borewicz stanął.

- Po ile? - zainteresował się.

- Para za stówę - powiedział ściszym głosem konik.

Borewicz sięgnął do kieszeni, szukając pieniędzy. Nic nie znalazł. Rozbawiła go ta sytuacja.

- Nie mam drobnych. Ale może pojedziemy tu do komendy, to pożyczę od kogoś z

kolegów - powiedział poważnie.

- O, przepraszam. - Konik skłonił się uprzejmie i speszony szybko wmieszał się w tłum. Borewicz uśmiechnął się i ruszył dalej.

W drzwiach kina kłębił się tłum. Wewnątrz stała bileterka, przedzierając bilety. Borewicz stanął obok, aby nie przeszkadzać jej w pracy.

- A od soboty go już nie ma - odpowiedziała na pytanie o kierownika.

- A czy może mi pani powiedzieć, skąd wiecie, że jest chory?

Bileterka nie przestawała przedzierać biletów, nawet nie spojrzała na Borewicza.

- Zdaje się, że dzwonił lekarz z rejonu.

- Lekarz z rejonu? - zdziwił się Borewicz.

- Tak - potwierdziła.

- Dziękuję pani - ukłonił się i odszedł.

Drobne odłamki rozbitej szyby posypały się na podłogę. Przez dziurę w szybie wsunęła się ręka mężczyzny w gumowej rękawiczce. Sięgnęła do klamki i otworzyła drzwi balkonu. Mężczyzna spokojnie wszedł do środka. Zatrzymał się. Zrobił ostrożnie kilka kroków i znów stanął. Rozejrzał się. Pociągnął nosem i poczuł potworny fetor. Wyciągnął z kieszeni chustkę i przysłonił nią twarz.

W pokoju, kiedyś elegancko urządzonego, panował bałagan. Wyrwane drzwiczki barku, rozrzucone na podłodze ubrania wymieszane z potłuczoną zastawą, powysuwane szuflady. Otwarte drzwi szafy, marynarka z wywróconymi na wierzch kieszeniami.

Na staroświeckim łóżku spod przykrytej kapy widać było nogi leżącego człowieka. Wyglądało, że śpi.

Borewicz podszedł do łóżka i jednym ruchem ściągnął nakrycie. Ukazał się makabryczny widok. Opuchnięta, szerniała twarz pokryta strupami zakrzepłej krwi, zakrwawiona biała koszula. Ciało było wzdęte, leżało już tak zapewne od kilku dni. Z trudem można było rozpoznać Tymoskiego.

Borewicz przykrył go i odwrócił się, jeszcze raz omiół badawczym spojrzeniem pokój. Następnie skierował się do przedpokoju. Podszedł do drzwi wejściowych. Stanął, przez chwilę im się przyglądał. Były bardzo solidne. Stanowiły porządne zabezpieczenie mieszkania. Łańcuch był zapięty.

Wreszcie ręką w rękawiczce odsunął energicznie zasuwę, odpiął łańcuch i otworzył

zamek. Czekaający na zewnątrz lekarz, Zubek i dwóch pracowników ekipy dochodzeniowej weszli do środka. Na zewnątrz został milicjant w mundurze.

Fotograf pochylił się nad łóżkiem, robiąc zdjęcia denata w różnych ujęciach. Co chwila błyskał flesz. Borewicz rozglądał się po pokoju. Trudno było mu wyłowić jakiś istotny szczegół w panującym wokół bałaganie. Jego uwagę zwrócił wreszcie zwitek przekazów pocztowych w szufladzie. Były adresowane tym samym zamaszystym pismem, które już kiedyś widział. Wziął jeden z odcinków do ręki i rozprostował. Nazwisko Czudraś było wyraźne. Podał przekaz Zubkowi. Zubek wziął go ostrożnie do ręki i przysunął blisko twarzy, by dokładnie odczytać. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Mamy dobroczyńcę, ciocię Czudrasiową - powiedział Borewicz z przekąsem, wskazując na łóżko.

Podszedł bliżej. Przyglądał się, jak sanitariusze wkładają zwłoki Tymoskiego do plastikowego worka.

- Jest w koszuli, drzwi mają trzy zamki, łańcuch i wizjer. Znał tego, którego wpuścił do mieszkania.

- Ktoś ze współników? - zapytał Zubek z powagą.

Borewicz stał zamyślony.

- Poszukajcie mi jakiegokolwiek zdjęcia Tymoskiego - rzucił do kręcących się po pokoju milicjantów z ekipy kryminalistycznej. - Coś tu musi być. Byle nie od Pierwszej Komunii.

Borewicz wszedł do gabinetu. Zdjął kożuch i położył go na krześle. Czuł jeszcze chłód zimowego poranka. Na stół rzucił kilka zdjęć Tymoskiego.

- I kasjerka, i kierownik u Jubilera są pewni, że to nie Tymoski strzelał w sklepie - powiedział. - A co to? - Spojrzał na drzwi do pokoju obok.

Stojący w drzwiach Zubek sprawiał wrażenie człowieka oczekującego pomocy. Westchnął bezradnie.

- Kręci, oczami przewraca, dekolci mi pokazuje. Nic nie mogę z niej wydusić - zaczęła proszącym tonem. - Może wy spróbujecie.

Borewicz zamknął za sobą drzwi. Stał i spojrzał groźnie. Przy stole siedziała Markiza. Spoglądała na porucznika z drwiną.

- Nie chcesz mówić? - zapytał ostro. W tym pytaniu zabrzmiała pogrożka.

- O czym my mamy mówić? - prychnęła. - O życiu? O seksie czy o śmierci?

Borewicz zmierzył ją wzrokiem. Wyraźnie denerwowało go zachowanie dziewczyny.

- Nigdy nic nie wiecie - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Chodzące królowny Śnieżki po siedmiu skrobankach.

Złapał futro z lisów, które Markiza niedbale rzuciła na krzesło. Cisnął nim w dziewczynę. Brutalnie złapał ją za łokieć, aż zapiszczała.

- Ubieraj się - powiedział ostro. - Zaraz zobaczysz kawałek życia, o którym będziemy rozmawiać.

\* \* \*

Pchnął drzwi. Powiało chłodem. Weszli do kostnicy. Markiza wrywała się, przerażona, zasłaniając oczy. Pod ścianą stały nosze. Na jednych leżał mężczyzna w podartym, zakrwawionym ubraniu. Ofiara wypadku. Obok, przykryte niezbyt dokładnie prześcieradłem, leżały nagie zwłoki innego mężczyzny. Dalej następne i jeszcze jedno... Sala pełna była nieboszczyków.

- Nie, nie chcę! - krzychała Markiza, wrywając się Borewiczowi.

Prawie jej się udało, ale porucznik w ostatniej chwili złapał ją za rękę i przytrzymał. Dziewczyna odwracała przerażoną twarz, by nie patrzeć. Borewicz na siłę dociągnął ją do noszy. Lewą ręką odkrył prześcieradło.

- Poznajesz? - zapytał ostro. - No, przypatrz się uważnie. To właśnie życie. I to, w którym tkwisz po uszy.

Twarz Tymoskiego była wykrzywiona okropnym grymasem. Oczy szeroko otwarte. Markiza szarpnęła się. Krzyknęła przestraszona.

- Nie! Błagam.

Znowu próbowała wyrwać się Borewiczowi. Porucznik szarpnął ją i popchnął w róg sali.

- Przypatrz się dobrze! - krzyknął. - Już wiesz, o czym będziemy rozmawiać?! Poznajesz go?! A może chcesz tu leżeć?! Znają cię - wysyczał jej do ucha. - Ty też ich widziałas wtedy wieczorem! Znają cię - powtórzył.

Markiza przytulona do ściany nie mogła opanować szlochu. Borewicz złapał ją mocno za rękę i odwrócił do siebie. Stała oparta plecami o ścianę. Oczy miała zamknięte, by nie patrzeć na trupy.

- Wszystko. Dokładnie - polecił. - Co działo się tamtego wieczoru. Minuta po minucie. Chyba że chcesz tu leżeć?

Markizą wstrząsały spazmy, nie otwierała oczu. Otuliła się futrem, jakby miało ją ochronić przed chłodem kostnicy i tym, co tu widziała.

- Był jeszcze jeden, taki łysawy. Miał dostać tego wieczora od niego - wskazała miejsce, gdzie leżał Tymoski - jakieś pieniądze. A ten wisior - zaczerpnęła powietrza - to Gabor ukradł mu z kieszeni, temu - wskazała powtórnie na zwłoki - widziałam.

Zaczęła się trząść. Borewicz puścił jej rękę. Markiza w popłochu uciekła.

Przez zakratowane okno wpadały wąskie smugi światła. Borewicz siedział przy stoliku. Po raz kolejny przyjechał na widzenie do więzienia w Sztumie. Wyciągnął z kieszeni fotografię Tymoskiego. Podsunął Czudrasiowi.

- Pierwszy raz widzę tego człowieka - wzruszył ramionami więzień.

Porucznik patrzył przez chwilę badawczo. Wreszcie schował fotografię do teczki.

- Po pierwszym żona panu doniesie, że już nie otrzymuje przekazów. Pański kumpel, ten z waltherem kaliber siedem, sześćdziesiąt pięć, którego pan tak kryje, załatwił dobrą ciocię - powiedział z przekąsem. - Do widzenia. - Wstał.

Czudraś poderwał się.

- Chwileczkę - złapał Borewicza za ramię. - Ja tego patafiana ze zdjęcia naprawdę nie znam.

- Wcale pana o to nie posądzałem. Sprytny szef nie zawierał znajomości z facetem zwerbowanym na jeden skok i z góry przeznaczonym na odstrzał. Ale było obiecane, że w razie wpadki zaliczka dla rodziny co miesiąc, a reszta po wyjściu na wolność. - Raczej stwierdził, niż zapytał.

Czudraś skinął głową. Przygnębiła go ta wiadomość.

- No to nici - powiedział lekko Borewicz. - Kto pana wtedy zwerbował? Zna pan nazwisko? Adres?

Czudraś usiadł i wbił oczy w blat.

- To on miał się zgłosić - powiedział zrezygnowany. - Zna mój adres. Taki łysawy facet... Chodził w lustrzanych słonecznych okularach.

Borewicz usiadł. Otworzył teczkę.

- Ułożymy portret pamięciowy. Pomoże mi pan?

W tym momencie odtworzyły się drzwi celi. Wszedł wartownik. Nachylił się nad porucznikiem.

- Telefonogram do pana - powiedział półgłosem.

Położył kartkę papieru na stoliku. Borewicz szybko przebiegł ją wzrokiem: „Zawiadomić 07. Ujęto Gabora”.

W gabinecie Borewicza siedział Gabor.

- Wielkie mecyje - powiedział rozbawiony - sforsowałem gościowi parkan. - Gestem zobrazował kradzież z kieszeni. - Portrety Franklina nosił dupek luzem w kieszeni.

Borewicz przechylił się nad biurkiem w jego kierunku. Popatrzył badawczo.

- Rąbnąłeś nie tylko wizerunki Franklina?

Gabor zrobił zdziwioną minę.

- Co oprócz banknotów zabraliście Tymoskiemu z kieszeni? - zapytał Zubek siedzący obok.

Gabora ogarnęło wzburzenie.

- Bezczelny łobuz, żeby mnie przed milicją obszczezać - powiedział niemal obrażony. - Zaraz pan spadnie ze stołka, jak się dowie, kogo tak broni.

Borewicz pochylił się nad Gaborem. Był spokojny.

- Spróbuję nie spaść - obiecał. Nagle zmienił ton. - Gdzie masz wisior? - zapytał ostro.

- Jednej dzidzi w przymusowy depozyt dałem, ale zgrandziła - wzruszył ramionami.

- Co za przymus?

- Sprawca mego trzeciego wyroku przyfalował z pana kolegą. Myślałem, że po mnie, ale udało się. Walę potem do dzidzi, ale ona syf, kiła, mogiła, malaria, korniki, depozyt rąbnęła. Troszkę postraszyłem, a ona fajt... leży... i striptiz nieboszczka odwała.

Zubek patrzył oburzony.

- To się kwalifikuje jako napad - powiedział.

- Do tego brutalny na podłożu seksualnym.

- Co pan? - W głosie Gabora zabrzmiała pretensja. - To ja się pruję jak brabancka koronka, spowiedź odwałam, żeby ludowej władzy pracę ułatwić, a pan mi napad pasuje?

- To dlaczego zemdląca?

Gabor odwrócił się z niesmakiem do Borewicza, szukając zrozumienia.

- Panie poruczniku, kto tam kobietę zrozumie - stwierdził filozoficznie. Westchnął głęboko na potwierdzenie swoich słów.

- Rzucam się ratować, a wtedy wpada ten jej długowłosa... W mordę bił, a okazji do wytłumaczenia się nie stworzył... Jak padlinę mnie do windy rzucili. Troszkę im trupa odstawiłem, to fakt. Wychodzę kołowaty, krew na koszuli, a tam ten facet - wskazał zdjęcie - do taksówki mnie tarabani. Po moim tropie przyfalował, bo mu adresu dziewczyny nie sprzedałem. Taki byłem subtelny dżentelmen...

Borewicz stał pod oknem. Uważnie się przysłuchiwał zeznaniom Gabora.

- Nie rozczulaj się, bo i ja się wzruszę w czasie pełnienia obowiązków służbowych - powiedział.

- Dlaczego cię do wozu wpakował?

Gabor wzruszył ramionami.

- Myślę, że pierwszy lepszy obywatel zaraz by mnie do MO zgłosił z tak pokiereszowaną facjatą - odrzekł. - Dowodu nie oddał i z domu ruszać się na krok nie pozwolił... Coś ten wisior musi być mocno trefny... Myślałem, że przyszło, ale rękaw od kamizelki... wezwania mi śle i randki umawia.

Borewicz zatrzymał się. Zaintrygowała go ta informacja. Spojrzał uważnie, udając niedowierzanie.

- Kto ci kartki przysyła? - zapytał.

- Jak to kto? - zdziwił się Gabor. - Ten pierdolony łązęga, co pan zdjęcie przechowuje.

Zdziwiło go naprawdę to pytanie Borewicza. Spojrzał pytająco, jednak nic nie udało mu się wyczytać z twarzy porucznika.

- Kiedy przysłał ostatnią kartkę? - spytał Borewicz.

- Wczoraj po fajrancie.

- Wczoraj przysłał kartkę? Do ciebie?

Gabor zamilkł. Poczul, że milicjanci nie wierzą w to, co mówi. Postanowił stać się bardziej wiarygodny.

- Pan da papier - powiedział - to skrobnę do Madzi, żeby korespondencję wydała,

co, mam nadzieję, pan w stosownej chwili jako okoliczność łagodzącą policzy. Dam klucze nawet, gdyby Madzi w domu nie było. Leży kartka na oknie, w kuchni. Ja tak... współpracuję z władzą ludową.

Mimo że bezpartyjny. - Uniósł ręce obronnym gestem.

\* \* \*

W kuchni panował bałagan. Przewrócone krzesło, wyrzucone z szuflad papiery. Magda siedziała przywiązana do krzesła. Ręce miała związane z tyłu. W ustach knebel z ręcznika. Oczy pełne łez. Oleszuk uderzył ją mocno w twarz. Dwa razy.

- Zaraz się przekonamy, czy na pewno nie wiesz, gdzie jest wisior - powiedział mściwie. - Poczekamy na Gabora.

Podciągnął ją bliżej kuchenki. Pochylił krzesło tak, że twarz miała tuż nad palnikiem, i odkręcił kurek gazu.

- Ja poczekam w sionce na świeżym powietrzu, a ty sobie przypomnij. Jak zdążysz - dodał mściwie. - Będę tu zaglądał. Jakbyś miała mi coś do powiedzenia...

Magda zaczęła się szamotać. Twarz miała tuż nad palnikiem, wyraźnie było słychać syk ulatniającego się gazu. Z oczu ciekły jej łzy. Szarpała się coraz wolniej.

Przed domem zatrzymał się samochód. Trzasnęły drzwi. Borewicz wyskoczył, zręcznie omijając kałużę. Zaczynała się odwilż. Rozejrzał się. Mimo roztopów było zimno. Postawił kołnierz płaszcza, włożył ręce do kieszeni. Kierowca wychylił się przez okno.

- Iść z panem? - zapytał.

Borewicz pokręcił przecząco głową. Kierowca szybko cofnął głowę do środka.

Porucznik pchnął furtkę i wszedł na podwórze. Spojrzał w okna, były ciemne. Podeszedł do drzwi. Zapukał. Przez chwilę nasłuchiwał. Czekał, aż Magda otworzy, ale nic się nie wydarzyło. Wyjął klucz i przekręcił w zamku.

W domu panowała cisza. Wszedł ostrożnie dalej. W pokoju było ciemno, ale w szparze drzwi do kuchni dostrzegł światło. Podeszedł bliżej i ostrożnie zajrzał. Była pusta. Coś go jednak zaniepokoiło.

Poczuł zapach gazu. Rozejrzał się badawczo i podeszedł do kuchenki. Sprawdził po kolei kurki. Pochylił się i powąchał. Szybko podeszedł do okna i otworzył lufcik.

W tym momencie usłyszał skrzypnięcie zawiasów. Odruchowo się odwrócił.



W drzwiach szafy lekko kołysał się klucz. Podeszedł i zajrzał do środka. Wewnątrz wrzucona razem z krzeselkiem leżała Magda. Pochylił się, by wyciągnąć dziewczynę. Postawił krzesło z przywiązaną Magdą przy oknie i próbował rozwiązać sznur. Dziewczyna była nieprzytomna. W tym momencie ktoś trzasnął drzwiami sionki. Dźwięk poderwał Borewicza z ziemi. Odwrócił się.

W drzwiach stał Oleszuk. W rękach trzymał pistolet.

- Nie ruszaj się - powiedział spokojnie. - Ręce na głowę. Stań tam - wskazał pistoletem. - Gdzie jest wisior, Gabor?

Borewicza zaskoczyło to pytanie. Uśmiechnął się lekko. Postanowił wykorzystać sytuację na swoją korzyść.

- Chodź - wskazał drzwi. - Jest ukryty na podwórzu.
- Gdzie? - Oleszuk był podejrzliwy.
- Sam nie znajdziesz.

Borewicz opuścił ręce. W napięciu wpatrywał się w przeciwnika. Kątem oka dostrzegł pęk kluczy wiszących na gwoździu.

- Przy drzwiach wiszą klucze do komórki - wskazał głową.

Oleszuk rzucił krótkie spojrzenie, cofnął się i wyciągnął rękę po klucze. W tym samym momencie Borewicz chwycił stojącą na stole doniczkę z kwiatami i rzucił w okno. Oleszuk puścił klucze i spojrzał na rozbitą szybę. Porucznik, wykorzystując nieuwagę przeciwnika, tygrysim skokiem rzucił się pod jego nogi. Oleszuk podniósł broń i strzelił. Obaj przewrócili się. Padł kolejny strzał, wrywając z podłogi drzazgi.

Mężczyźni nie przestawali walczyć. Oleszuk próbował stanąć na nogi. Borewicz podciął go jednak. Znów kotłowali się po podłodze. W pewnej chwili porucznik wytrącił bandycie pistolet z ręki. Broń upadła na ziemię. Borewicz po dwóch silnych ciosach zdołał odskoczyć. Stanął, chwiejąc się lekko z wysiłku. Z rozciętej wargi ciekła mu krew. Wyciągnął z kieszeni broń. Wycelował.

- Nie ruszaj się - rozkazał. - Milicja. Oleszuk leżał z twarzą przy podłodze. Lekko podniósł głowę, patrząc na Borewicza ze zdziwieniem.
- Jaka milicja? - zapytał kompletnie zdumiony. W tym momencie otworzyły się drzwi i wbiegł

kierowca. W ręku trzymał pistolet. Dopadł Oleszuka.

- Bierz go do wozu - polecił Borewicz. Milicjant schował pistolet. Skuł bandytę kajdankami.

- Panie poruczniku, mają już tego od wisiora - powiedział.

Borewicz nie słuchał, odwrócił się w kierunku Magdy. Dziewczyna odzyskała przytomność, ale nadal przywiązana do krzesła leżała na podłodze. Pochylił się, by rozwiązać sznur.

- Przed chwilą rozmawiałem z porucznikiem Zubkiem - mówił dalej milicjant. - Facet chciał sprzedać kamień u jubilera. Właśnie go zdjęli.

Borewicz skończył rozwiązywać Magdę. Pomógł jej wstać. Dziewczyna czuła się niepewnie. Rozcierała zdrętwiałe nadgarstki.

- Czy Edek pójdzie siedzieć? - zapytała cicho.

- Chyba tak - odparł Borewicz.

- Nawet nie widziałam tego wisiora - powiedziała z żalem, patrząc na porucznika.

Borewicz stanął w drzwiach gabinetu. To, co zobaczył, zaskoczyło go tak bardzo, że przez chwilę się nie odzywał. Przy biurku Zubek na maszynie spisywał zeznania. Tyłem do drzwi siedział starszy mężczyzna w charakterystycznym kaszkiecie. Borewicz przeszedł dookoła biurka i usiadł po drugiej stronie. Mężczyzna spojrzał na niego niepewnie. Porucznik nie wierzył oczom. Zubek przestał wreszcie pisać, podniósł wzrok i zaczął czytać.

- Ja, Józef Dołmontowicz - zaczął podniośle - w nocy z soboty na niedzielę dwunastego grudnia znalazłem w swoim samochodzie...

- O, nie... - przerwał taksówkarz. - Ze wszystkim inaczej. Protokół podpisać, to nie bułkę z masłem zjeść. Jak pan auto mnie znalazł, to ja go, znaczy, zaczął rychtować. Wyjmuję zadnią kanapę. Zrywam tapicerkę, a tu w szparze wisior się koci. A nie było to w sobotę dwunastego, tylko wczoraj. A teraz pisz pan - polecił.

- Nie skojarzył pan sobie, że to może być ten wisior? - spytał Borewicz z troską w głosie.

- Jak ja auto z powrotem od milicji dostał, to już go milicja chyba sprawdzała - powiedział cicho taksówkarz. - A pomyślał: „auto rozbite, PZU nierychliwe, widać losy niebios”. Ot, i złakomił się, choć teraz i wstydno trochę. - Dołmontowicz spuścił wzrok. Na biurku leżał piękny ornamentowany wisior z brylantem.

W pokoju nadzoru telewizyjnego Warszawy CCTV panował duży ruch. Co chwila ktoś przechodził, zasłaniając ścianę z monitorami. Przy pulpicie siedział oficer i nadawał komunikat o poszukiwaniu zielonego fiata 127 o numerze rejestracyjnym WW 5060, uważnie obserwując ekrany.

W pewnym momencie dostrzegł poszukiwany samochód. Pokręcił reglerem, ustawiając ostrość.

Z krawężnika z piskiem opon ruszył radiowóz. Kilku przechodniów przystanąło, z zainteresowaniem przyglądając się akcji. Kierowca włączył syrenę. Zaczął przyspieszać. Nie hamował na skrzyżowaniach.

Fiat przejechał szybko Alejami Ujazdowskimi. Radiowóz trzymał się tuż za nim.

Oficer przyjął meldunek o bezpośrednim pościgu. Spojrzał na ekran. Samochód był dobrze widoczny, jednak w zasuniętej szybie odbijało się słońce, tworząc oślepiające refleksy, które uniemożliwiały rozpoznanie kierowcy. Samochód minął skrzyżowanie. Widząc za sobą radiowóz, kierowca fiata przycisnął pedał gazu. Zjechał na ślimak prowadzący w dół na Trasę Łazienkowską. Pędził coraz szybciej.

W Śródmieściu, pod Pałacem Kultury, zatrzymał się inny radiowóz. Kierowca wyszedł na zewnątrz i obserwował przejeżdżające od czasu do czasu samochody. W niewielkiej odległości stanął młody mężczyzna z charakterystyczną aplikacją na kurtce. Nasłuchiwał meldunków płynących z radiostacji. Nagle zastygł. Do jego uszu dobiegła informacja:

„Poszukiwany fiat 127 ucieka w kierunku wschodnim”.

Kierowca radiowozu, nie zwracając uwagi na mężczyznę, wskoczył do samochodu i szybko ruszył, włączając się do pościgu.

Na Trasie Łazienkowskiej tuż za zielonym fiatem 127 pojawiły się dwa radiowozy. Uciekający uskoczył. Radiowozy ostro przyhamowały. Trzymały się teraz w bezpiecznej odległości. Nagle fiat wykonał karkołomny manewr, zawracając pod prąd. Następnie zjechał na pas w przeciwnym kierunku i zaczął wyprzedzać samochody, brawurowo na przemian zmieniając pas. Sytuacja robiła się niebezpieczna.

Po pewnym czasie radiowozy dogoniły fiata. Nadal trzymały się w bezpiecznej

odległości. Nagle fiat zwolnił, po czym gwałtownie przyspieszył.

Jezdnię tarasowała rozciągnięta na całej szerokości taśma z wystającymi kolcami.

Między rozciągniętą na ziemi kolczatką a balustradą rozdzielającą w tym miejscu jezdnię w dwóch kierunkach została kilkucentymetrowa przerwa. Balustrada najpierw szła nad ziemią i dalej wznosiła się na wysokość około metra. Kierowca fiata wykorzystał to. Z impetem wjechał lewym kołem na balustradę. Przez moment utrzymywał samochód przechylony niemal o sto osiemdziesiąt stopni. Prawym kołem trafił w przerwę między kolczatką a balustradą. Wydawało się, że wywróci się na dach. Utrzymał jednak równowagę i po paru metrach wóz opadł na cztery koła.

Milicjanci z podziwem obserwowali kaskaderski wyczyn. Samochód tymczasem szybko się oddalił. Przed kolczatką z piskiem opon wyhamowały dwa ścigające go radiowozy.

Funkcjonariusze dopiero teraz ocknęli się i w pośpiechu zaczęli związać kolczatkę. Radiowozy gwałtownie ruszyły.

Kierowca fiata kontrolowanym poślizgiem skręcił w parkową aleję. Precyzyjnie ominął kobietę idącą z dziecięcym wózkiem i skierował się w głąb Parku Kultury. Jadące za nim radiowozy nie ryzykowały. Przyhamowały i dopiero po chwili ruszyły chodnikiem za uciekającym.

Fiat, tratując trawnik, wjechał na rozległy parking przy Muzeum Ziemi. Tuż za budynkiem teren opadał w stronę Książęcej. Samochód nie wyrobił się przy końcu parkingu i zawadził bokiem o jeden ze stojących tam głazów narzutowych. Niebezpiecznie szybko zbliżał się do skarpy. Nie przyhamował jednak. Pędził w stronę kładki przerzuconej nad ulicą.

W ostatniej chwili kierowca dostrzegł tarasujący mu drogę radiowóz. Desperacko skręcił w prawo i runął w dół. Pierwsze metry fiat przeleciał w powietrzu. W połowie skarpy opadł na cztery koła i zjechał po prawie pionowym zboczu, tratując po drodze ozdobne krzewy. Przejechał przez chodnik, omal nie zabijając dwu osób, i gwałtownie wyjechał na Książęcą. Samochód jadący ulicą w ostatniej chwili odbił na środek, unikając kolizji. Fiat szybko oddalił się w stronę Wisły.

Kierowca radiowozu stojącego na kładce nad ulicą Książęcą obserwował z zainteresowaniem pościg. W tym momencie odezwała się radiostacja. Milicjant sięgnął

po mikrofon.

- Ja osiemnastka. To, kurwa, jakiś wariat albo samobójca.
- Osiemnastka, licz się ze słowami. Jesteś na fonii - padło z radiostacji.

Fiat 127 zatrzymał się na małej, pustej uliczce na peryferiach miasta. W bramie starej kamienicy czekał młody mężczyzna. Obok stał motocykl. Mężczyzna wyjął zza pazuchy dwie tablice rejestracyjne, każda zaopatrzona w niewielkie uchwyty, nałożył je z przodu i z tyłu samochodu i podszedł do kierowcy. Z fiata wysiadła młoda dziewczyna z długimi blond włosami opadającymi na ramiona.

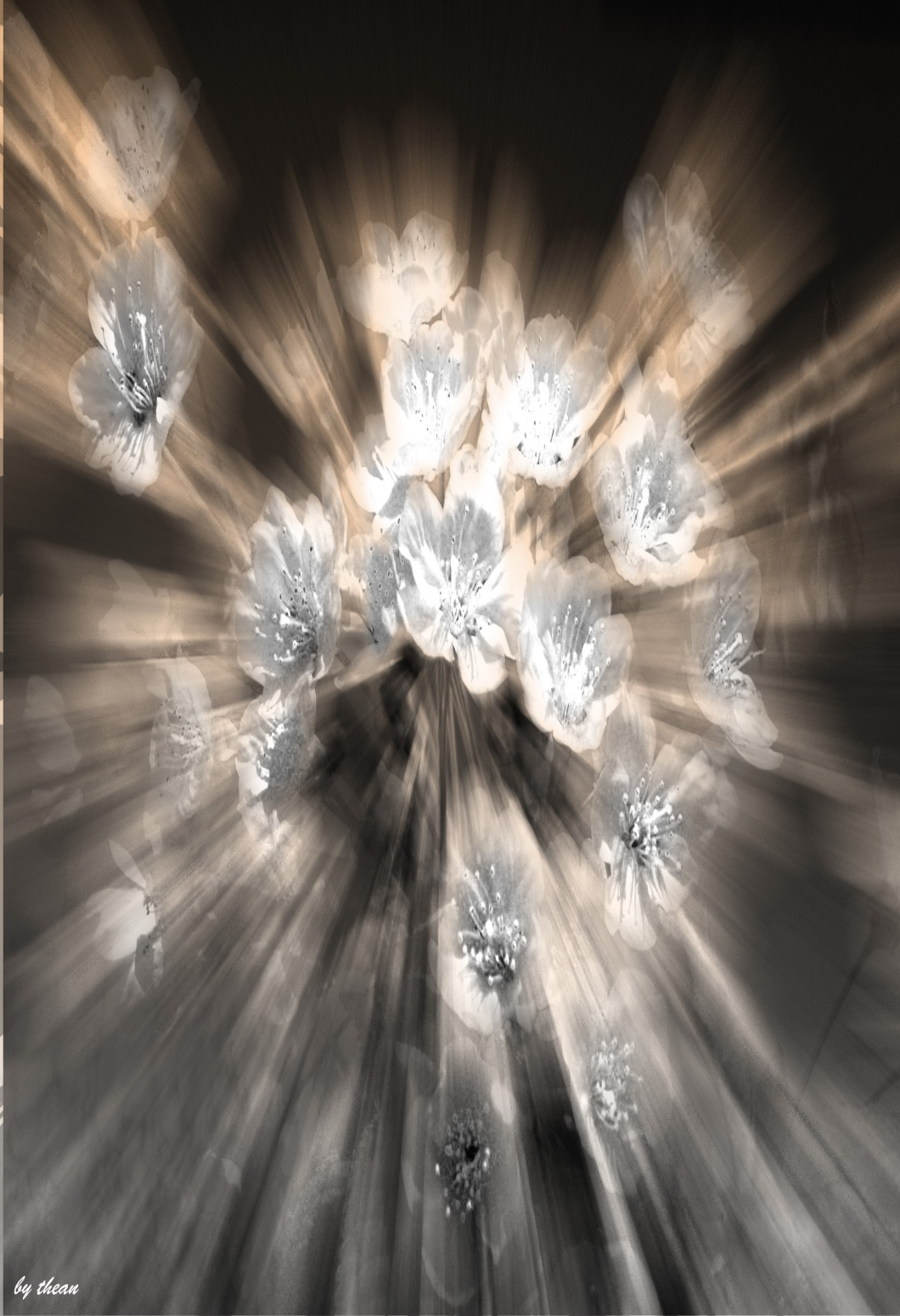
- Spoko? - zapytał mężczyzna.
- Na trasie chcieli mi przygrzać, ale w porządku.

Podowała mu kluczyki do samochodu.

- Trójka źle wchodzi, uważaj.
- Podwieźć cię?
- Nie, jestem tu umówiona.
- Małe bzykanko? - zarechotał.
- Gównu cię to obchodzi.

Odwróciła się na pięcie i odeszła bez pożegnania. Wiatr rozwiewał jej długie włosy.

(„Dziwny wypadek” fragment)



*by thean*